

# Niesamowita opowieść



STEFAN GRABIŃSKI

# Niesamowita opowieść

## Spojrzenie

*Karolowi Irzykowskiemu poświęcam*

Zaczęło się jeszcze wtedy — przed czterema laty, w owo dziwne, straszliwie dziwne popołudnie dnia sierpniowego, gdy Jadwiga po raz ostatni wyszła z jego domu...

Była wtedy jakaś inna niż zwykle, jakaś jakby bardziej nerwowa i czegoś wyczekująca. I tuliła się doń namiętniej niż kiedykolwiek...

Potem nagle szybko ubrała się, zarzuciła na głowę swój niezrównany szal wenecki i pocałowałwszy go mocno w usta, odeszła. Jeszcze raz mignął tam u wejścia brzeg jej sukni i smukły kontur trzewika i wszystko skończyło się na zawsze...

W godzinę potem zginęła pod kołami pociągu. Odonicz nie dowiedział się nigdy, czy śmierć ta była dziełem przypadku, czy też Jadwiga rzuciła się sama pod rozhukaną w pędzie maszynę. Była przecież istotą nieobliczalną ta smągła, ciemnooka kobieta...

Lecz nie o to chodziło, nie o to. Ten ból, ta rozpacz, ten nieutulony żal — to wszystko było przecież w tym wypadku tak naturalne, tak oczywiste. Więc nie o to chodziło.

Zastanawiało coś całkiem innego — coś tak śmiesznie błahego, coś tak drugorzędnego... Jadwiga, wychodząc od niego po raz ostatni, nie zamknęła za sobą drzwi.

Pamięta, jak odprowadzając ją przez pokój, potknął się i pochylił zniecierpliwiony, by wyprostować zagięty róg kobierca. Gdy po chwili podniósł oczy, Jadwigi już w pokoju nie było. Odeszła, pozostawiając drzwi otwarte.

Dlaczego nie zamknęła ich za sobą? Ona, zwykle tak przytomna, tak czasami pedantycznie przytomna kobieta?...

Pamięta owo przykre, owo nader przykre wrażenie, jakie sprawiły na nim wtedy te szeroko na oścież roztwarte drzwi powiewające niby żalobna chorągiew na wietrze swym czarnym, gładko politurowanym skrzydłem. Drażnił go ich chwierutliwy, niespokojny ruch, który co chwilę odcinał mu sprzed oczu, to znów odsłaniał ziejącą żarem popołudniowego słońca partię skweru przed domem...

Wtedy to nagle przyszło na myśl, że Jadwiga opuściła go na zawsze, pozostawiając mu do rozwiązania jakiś zawily problem, którego zmysłowym wyrazem było owo uchylenie drzwi...

Tknięty złowróżbnym przecuciem poskoczył ku nim i wyjrzał poza rozchwiane skrzydło w dal, na prawo, w stronę, w którą prawdopodobnie odeszła. Ani śladu... Przed nim rozpościerał się szeroko złotą piaszczystą równią pusty, rozpalony od skwaru letniego plac, hen aż po nasyp kolejowy tam na krańcach horyzontu. Nic — tylko ta złocista, pijana słońcem płaszczyna... Potem długi, kilkumiesięczny, tępy ból i głucha, szarpiąca duszę w kawały rozpacz utraty... Potem... wszystko minęło — rozwiało się jakoś, usunęło gdzieś w kąt...

I wtedy przyszło to. Chyłkiem jakoś, nieznacznie, ni stąd, ni zowąd, niby od niechcenia. Problem otwartych drzwi... Cha, cha, cha! Problem! Śmiech powiedzieć, doprawdy! Problem niedomkniętych drzwi. Uwierzyć trudno, na honor, uwierzyć trudno. A jednak, a jednak...

Omen

Po nocach całych snuły mu się w mózgu upartą, senną zmorą — miał je w dzień pod przymkniętą momentalnie powieką, wylaniały się wśród jasnej, trzeźwej jawy gdzieś daleko w perspektywie drażniącym majakiem...

Lecz teraz nie chwiały się już pod naporem wiatru jak wtedy, w ową fatalną godzinę, tylko powoli, całkiem powoli odchyłały się od fikcyjnej futryny. Zupełnie tak, jak gdyby ktoś z zewnątrz, z tamtej drugiej, niewidzialnej dla jego oka strony, chwycił za kłamek i ostrożnie, bardzo ostrożnie otwierał je o pewien kąt...

Właśnie ta ostrożność, ta szczególna przezorność ruchu mroziła do szpiku. Jak gdyby obawiano się, by kąt odchylenia nie był za wielki, by drzwi nie otworzyły się za szeroko. Wyglądało na to, że się z nim przekomarzają, nie chcąc w całej pełni pokazać tego, co się kryło poza tym przekłętym skrzydłem. Uchyłano przed nim tylko rąbka tajemnicy, dawano mu do poznania, że tam, po tamtej stronie, za drzwiami istnieje tajemnica, lecz bliższe szczegóły zazdrośnie zatajono...

Odonicz bronił się przed tym maniackim refrenem wszelkimi siłami. Po tysiąc razy na dzień przekonywał siebie, że poza drzwiami wchodowymi<sup>1</sup> nie ma nic niepokojącego, że w ogóle poza żadnymi drzwiami nic się nie kryje, nic się nie czai. Co chwila odrywał się od przymusowo na się nałożonej pracy, krokiem śpiesznym, drapieźnym, krokiem czatującego lamparta przypadał kolejno do wszystkich drzwi pokoju, otwierał je, niemal wyrzucał z zamku i zapuszczał głodne spojrzenie w przestrzeń poza nimi. Oczywiście zawsze z tym samym wynikiem: nie stwierdził ani razu nic podejrzanego; przed oczyma śledzącymi ze straszliwą jakąś ciekawością poszlak tajemnicy rozkładał się po staremu, jak za „dawnych, dobrych czasów”, bądź pusty, jałowy skwer, bądź banalny fragment korytarza lub ciche, ustalone raz na zawsze wnętrze sąsiedniej sypialni czy łazienki.

Wracał niby uspokojony do biurka, by za parę minut znów ulec prześladowanej go myśli... W końcu poszedł do jednego z najwybitniejszych neurologów i zaczął się leczyć. Wyjeżdżał parokrotnie nad morze, brał zimne kąpiele, zaczął wieść życie hulaszcze.

Jakoś po czasie zdawało się, że wszystko przeszło. Uporczywy obraz uchylonych w perspektywie drzwi powoli zatarł się, wypłowił, jakby przygasł, w końcu rozwił się.

I byłby Odonicz z siebie zupełnie zadowolony, gdyby nie pewne objawy, które wyłoniły się w parę miesięcy po ustąpieniu tamtej zmory.

A przyszło tak jakoś nagle, niespodzianie, na miejscu publicznym, na ulicy...

Właśnie był u wylotu Świętojańskiej i zbliżał się do punktu skrzyżowania jej z Polną, gdy wtem na samym rogu, niemal u węgła ostatniej kamienicy, zdjął go zniecka piekielny strach. Wypadł skądś z zaułka i żelaznymi szponami chwycił za krtań.

— Nie pójdziesz dalej, kochanku! Ani kroku dalej!

Odonicz zamierzał początkowo skrócić wprost na Polną w miejscu, gdzie kończyła się wspomniana kamienica, której okna spoglądały „podwójnym frontem” na obie ulice — gdy uczył w sobie ten sprzeciw. Nie wiadomo dlaczego, nagle wydał mu się kąt przecięcia ulic za silny jak na jego „nerwy”: po prostu zaistniała gwałtowna obawa, że tam „za załomem”, „na zakręcie” można spotkać się z „niespodzianką”.

Narożny dom, który należało okrążyć pod kątem niemal prostym, by skrócić na Polną, chronił na razie przed tą niemłą ewentualnością, zasłaniając swą potężną, kilkupiętrową pierzeją widok „z tamtej strony”. Lecz ostatecznie ściana musiała się kiedyś skończyć, odsłaniając nagle, przerażająco nagle to, co było na lewo od węgła. Ta nagłość, ta gwałtowność przejścia z jednej ulicy na drugą, zakrytą dotąd przed jego oczyma niemal zupełnie, przejmowała bezgraniczną trwogą: Odonicz nie śmiał wyjść na spotkanie „nieznanemu”. Więc poszedł drogą kompromisu i tuż przed samym zakrętem zamknąwszy oczy, z ręką opartą o mur kamienny, by nie upaść, powoli zaczął zbaczać na Polną.

W ten sposób posunął się parę kroków naprzód, prześliznął palce po krawędzi ściany i otarłszy się o wystający kant domu, uczył, że skręt szczęśliwie przebyty i że wkroczył w strefę drugiej ulicy. Mimo to nie śmiał jeszcze otworzyć oczu, lecz wciąż macając ręką ściany domów, schodził w dół Polnej.

Dopiero po paru minutach takiej wędrówki, gdy już zdobył niejako „prawo obywatelstwa” w nowej strefie, gdy nareszcie uczył, że już tutaj „wiedzą” o jego obecności — odważył się i podniósł przymknięte powieki. Spojrzawszy przed siebie, z uczuciem ulgi

<sup>1</sup>wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

przekonał się, że nie ma nic podejrzanego. Wszystko było zwyczajne i normalne, jak przystało na ulicę wielkowiejską: przejeżdżały pędem dorożki, przelatowały jak błyskawice autobusy, mijali się przechodnie. Odonicz zauważył tylko o parę kroków od siebie jakiegoś gapia, który z rękoma zapuszczonymi w kieszenie, z papierosem w gębie przypatrywał mu się znać już od chwili z ciekawością, uśmiechając się złośliwie.

Odonicza ogarnęła nagle wściekłość i niby jakiś wstyd. Czerwony ze wzruszenia przystąpił do impertynenta<sup>2</sup> i zapytał opryskliwie:

— Cożes tak wywalił na mnie swe bezmyślne trzeszcze, gamoniu jakiś?

— He, he, he! — wycedził łobuz, nie wyjmując papierosa z ust. — Myślałem se zrazu, że pan ślepiec — a teraz se myślę, że pan ino bawił się ze sobą samym w ciuciubabkę. Te... cie go! Też pańska fantazja!

I nie zważając już na rozjuszonego odpowiedzią gentlemiana, przeszedł, gwizdząc jakąś aryjkę, na drugą stronę ulicy.

W ten sposób wyłonił się na horyzoncie nowy problem: „na zakręcie”.

Odtąd Odonicz stracił pewność siebie i swobodę ruchów na miejscach publicznych. Nie mogąc przejść bez uczucia tajemnego lęku z jednej ulicy na drugą, stosował metodę obchodzenia skrętów w szerokich kołach; było to wprawdzie nader niewygodne, gdyż „nakładał” zawsze ogromnie wiele drogi, lecz unikał w ten sposób gwałtownych zbroczeń, łagodząc znacznie kąt załamania ulic. Teraz już nie potrzebował przymykać oczu przy narożnych kamienicach.

Wszelkie niespodzianki, jakie ewentualnie mogły kryć się „poza węglem”, miały teraz czasu dość do „zamaskowania się” przed nim; owo bliżej nieokreślone, zgoła heterogeniczne<sup>3</sup> i dziko mu obce „coś”, którego istnienie wyczuwał przez skórę po tamtej stronie zakrętu, mogło teraz spokojnie, niezaskoczony jego nagłym wyłonieniem się na rogu nowej ulicy, przyczaić się na pewien czas, względnie, mówiąc dosadnym stylem Odonicza, „dać nura pod powierzchnię”. Bo że coś tam było „za załomem”, coś zasadniczo „innego” — o tym nie wątpił już wtedy ani trochę.

W każdym razie przynajmniej w owym okresie czasu Odonicz wcale nie życzył sobie spotkania z „tym” oko w oko; przeciwnie, pragnął schodzić mu z drogi, ułatwiając „maskowanie się” w samą porę. Niesamowita trwoga, która przejmowała go na samą myśl, że mogłyby nastąpić przed nim jakieś w tym względzie „rewelacje”, jakieś niepożądane objawienia i niespodzianki — umacniała go tylko w przekonaniu, że niebezpieczeństwo jest istotnie poważne.

Opinia innych ludzi o tej sprawie nie obchodziła go przy tym zupełnie. Uważał, że każdy powinien sobie z „tym” dawać radę sam, o ile w ogóle u kogokolwiek poza nim zachodziła podobna ewentualność.

Odonicz zdawał sobie jasno sprawę, że może na całym świecie prócz niego nikt nie zwrócił na „to” uwagi. Przypuszczał nawet, że większość kochanych bliźnich parsknęłaby mu w nos ordynarnym śmiechem, gdyby tak odważył się któremu z nich powierzyć swoje wątpliwości. Dlatego milczał uporczywie i sam pasował się z „nieznanym”.

Po pewnym dopiero czasie zauważył, że źródłem jego szczególnej trwogi był strach przed „tajemnicą” — owym dziwnym dajmonium<sup>4</sup>, które od wieków włożyło maskę na twarz i chodzi w niej pomiędzy ludźmi. Nie nęciła go wcale jego zagadkowość, nie czuł w sobie na razie powołania na Edypa<sup>5</sup>. Przeciwnie! Chciał żyć, żyć i jeszcze raz żyć! Dlatego unikał spotkania i ułatwiał wzajemne wymijanie się...

Od czasu owego wewnętrznego sprzeciwu, który tak zniechęcał zaatakował go na rogu Polnej, nabral zasadniczego wstrętu do wszelkich ścian, przepierzeń, w ogóle do wszel-

<sup>2</sup>*impertinent* — człowiek zachowujący się arogancko, obraźliwie wobec kogoś. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*heterogeniczny* (z gr. *heteros*: inny, *genos*: pochodzenie, ród) — różnorodny, niejednorodny; tu zapewne: obcy, mający inne pochodzenie, należący do innego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*daimonium*, właśc. *daemonium* (łac.) a. *daimonion* (gr.) — pomniejsze bóstwo, nadprzyrodzona moc, w swoich nieprzewidywalnych i często przerażających przejawach; w w filoz. staroż.: ostrzegawczy głos wewnętrzny pochodzenia boskiego, powstrzymujący człowieka przed błędnymi decyzjami i popełnieniem zła. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Edyp* (mit. gr.) — rozwiązał zagadkę Sfinks, skrzydlatego potwora o głowie kobiety i tułowiu lwa, który czatował na podróżnych zmierzających do Teb i zadawał im trudne pytanie-zagadkę, a gdy nie umieli odgadnąć odpowiedzi, pożerał ich. Edyp udzielił poprawnej odpowiedzi, a wtedy Sfinks rzucił się w przepaść. [przypis edytorski]

kich „osłon” nietrwałych i prowizorycznych, które tylko na chwilę zakrywają to, co poza nimi. W ogóle uważał, że wszelkie tzw. ekrany są wymysłem zgubnym, a nawet nieetycznym, gdyż ułatwiają niebezpieczną grę „w chowanego”, budząc przy tym często nieufność i trwogę tam, gdzie może nieraz nie ma ani śladu niesamowitości. Po co ukrywać rzeczy, które na zatajenie nie zasługują? Po co niepotrzebnie wzniecać podejrzenie, jak gdyby „tam” było coś naprawdę do ukrywania?...

A jeżeli owo „coś” rzeczywiście istnieje — po co nastrożać mu sposobność do „chowanki”?

Odonicz stał się zdecydowanym zwolennikiem dalekich, jasnych perspektyw, szerokich placów, rozległych i otwartych, hen, hen daleko jak okiem sięgnąć, przestrzeni. Nie cierpiał natomiast dwuznaczności zaułków, przyczajonych zdradziecko w półmroku podsieni, hipokryzji wielkomiejskich przecznicy i krętych „uliczek bez wyjścia”, które zdają się wiecznie czyhać na samotnego przechodnia. Gdyby to od niego zależało, budowałby miasta wedle zupełnie nowego planu, którego zasadą byłaby prostota i szczerłość; byłoby tam dużo, bardzo dużo słońca i szeroko rozrzuconej przestrzeni.

Dlatego też najchętniej odbywał przechadzki poza miasto po rozległych, z rzadka zaludnionych domostwami bulwarach lub też podwieczorną porą po podmiejskim wygonie<sup>6</sup> gubiącym się cicho w mgłach nieskończonych dali...

I mieszkanie Odonicza uległo w tym czasie radykalnym przemianom. W myśl zasady prostoty i szczerości pousuwał wszystko, cokolwiek mogło trącić manierą „przykrywek i obślonek”.

Znikły więc stare, perskie dywany, puszyste „buchara”<sup>7</sup> i tłumiące echo kroków „sumaki”<sup>8</sup>, zeszyły ze ścian bezpowrotnie fałdziste kotary i draperie. Ogołocił okna z dyskretnych firanek, powyrzucił jedwabne ekrany. Nawet parawan z zielonej kitajki<sup>9</sup>, ulubiony niegdyś sprzęt Jadwigi, przestał ocieniać potrójnym skrzydłem wewnątrz sypialni. Nawet szafy okazały się sprzętem podejrzanym o przynależność do kategorii „skrytek”. Toteż kazał je wynieść na strych, poprzestając na zwykłych wieszadłach i „szaragach”<sup>10</sup>.

Tak przekształcone mieszkanie zdobyło charakter dziwnej, graniczącej z ubóstwem prostoty. Wprawdzie nieliczni znajomi z tych czasów zwracali mu uwagę na przesadną prymitywność urządzenia, przebąkując coś niecoś o stylu szpitalno-koszarowym, lecz Odonicz przyjmował te uwagi z uśmiechem pobłażania i nie dał się przekonać. Przeciwnie, z dniem każdym znajdował coraz większe upodobanie w swym *interieurze*<sup>11</sup>, które opuszczał coraz rzadziej, unikając w ten sposób „niespodzianek” czyhających zewnątrz. Lubił to swoje ciche, prostolinijne wnętrze, gdzie nie potrzebował się lękać żadnych zasadzek, gdzie wszystko było jasne i otwarte „jak na dłoni”.

Nie przytajało się tu nic poza oponami<sup>12</sup>, nie czaiło się nic w cieniu zbytecznych sprzętów. Nie było tu żadnych nastrojowych półmroków i półświatł, żadnych niedomówień i problematycznych przemilczeń. Wszystko było oczywiste jak „kromka chleba na talerzu lub książka kucharska rozłożona na stole”.

W dzień zalewały mieszkanie strugi zdrowego, jędrnego słońca, za pierwszą przegrywką do wieczornych zmroków rozbłyskiwały jarkim<sup>13</sup> światłem elektryczne żarówki. Oczy pana domu mogły swobodnie i bezkarnie wędrować po ścianach gładkich, niepoobwieszanych draperiami, ozdobionych chyba tu i ówdzie parą angielskich, pogodnej treści sztychów. Nic tu nie mogło zaskoczyć, nic przykucnąć niepostrzeżenie za jakim węglem.

„Jak w szczerym polu — myślał sobie nieraz Odonicz, pojąc wzrok oczywistością otoczenia. — Stanowczo dom mój nie jest terenem dogodnym dla chowanki”.

Jakoż zdawało się, że zarządzone środki prewencyjne odniosły pożądaną skuteczną. Odonicz uspokoił się znacznie i czuł się nawet w tym czasie względnie szczęśliwy. I nic nie

<sup>6</sup>wygon — wspólne pastwisko dla całej wsi lub droga, którą się pędzi bydło. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>buchara — rodzaj cenionych dywanów wytwarzanych w Uzbekistanie w okolicach miasta Buchara, głównego miejsca handlu tymi wyrobami. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>sumak — gładki dywan orientalny, tkany na płasko techniką tkacką o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>kitajka (daw.) — tkanina jedwabna. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>szaraga — rodzaj wieszaka na ubrania w postaci stojącej ramy z haczykami a. kółkami. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>interieur (fr.) — wnętrze. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>jarki — dziś: jarzący się; żarzący się. [przypis edytorski]

byłoby zamąciło świętej ciszy, gdyby nie pewne szczegóły, zresztą dość niewinnej natury, gdyby nie pewne takie sobie śmieszne szczegółiki...

Jednego wieczora ślęczał Odonicz przez parę godzin bez przerwy nad wykończeniem większej naukowej pracy, którą zamierzał drukować w najbliższej przyszłości. Dzieło wchodzące w zakres studiów przyrodniczych zwalczało niektóre nowsze hipotezy biologiczne, wykazując ich bezradność wobec fenomenów zaobserwowanych w życiu stworzeń na pograniczu między światem zwierzęcym a roślinnym.

Znużony dłuższym wysiłkiem myśli odłożył na chwilę pióro, zapalił papierosa, po czym odchyliwszy głowę na poręcz fotela położył prawą rękę na biurku, prostując ścierpę od pisania palce...

Wtem — wzdrynął się, wyczuwszy pod nimi coś międko-ustępliwego. Mimo woli cofnął rękę i spojrzał uważnie na prawą partię biurka, gdzie zwykle leżał ciężki, masywny przycisk z porfiru<sup>14</sup>. Wtedy ze zdumieniem spostrzegł zamiast kamienia kawałek suchej, wąskoporowatej gąbki.

Przetarł oczy i dotknął ręką przedmiotu. Była to gąbka! Typowa, jasnożółta gąbka — *spongia vulgaris*<sup>15</sup>...

— Co za diabeł? — pomyślał półgłosem, obracając ją w palcach na wszystkie strony. — Skąd się u mnie wzięła? Przecież się nigdy gąbką nie nacieram. Zresztą za mała do tego użytku. Hm... szczególnie... Lecz gdzie podział się przycisk, do licha? Zawsze tu od lat leżał na tym samym miejscu.

I zaczął szukać po biurku, zaglądnął<sup>16</sup> do szuflady, pod stół: nadaremnie; kamień zniknął bez śladu. Na jego miejscu leżała gąbka, zwykła, pospolita gąbka... Omamienie czy co?

Wstał od stołu i zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju.

— Dlaczego gąbka? — rozumował zaniepokojony. — Dlaczego właśnie gąbka? Równie dobrze mogło być żelazko lub kawałek kołka z płotu.

— Za pozwoleniem, mój kochany — odezwał się w nim nagle jakiś głos nieproszony — to nie jest to samo. Nawet i takie zjawiska są odpowiednio uwarunkowane. Zapominasz o tym, że od paru już godzin przebywasz niemal wyłącznie w świecie stulbi, ukwiałów, gąbek i tym podobnych jamochłonów. A właśnie życie gąbki szczególnie cię interesowało. Chyba temu nie zaprzeczysz, co?

Odonicz przystanął w środku pokoju, uderzony tym wywoodem.

— Hm — mruknął — istotnie zaprzątuje me myśli już od paru godzin. Lecz cóż z tego, do stu szatanów?! — wrzasnął nagle na cały głos. — To jeszcze nie racja!

I spojrzał znów z ukosa na biurko. Lecz tu ku niepojętemu zdumieniu ujrzał teraz zamiast gąbki zaginiony przycisk. Leżał sobie cicho i spokojnie jak gdyby nigdy nic na wyznaczonym mu od lat raz na zawsze miejscu. Odonicz powiódł ręką po czole, przetarł powtórnie oczy i przekonał się, że nie marzy: na biurku leżał przycisk, porfirowy przycisk z gładką, toczoną gałką w pośrodku. Gąbki ani śladu — jak gdyby jej nigdy tutaj nie było.

— Przywidzenie! — zawyrokował. — Halucynacja pod wpływem chwilowego pracowania.

I zasiadł z powrotem do biurka. Lecz jakoś nie zdołał sklecić ani jednego zdania więcej tej nocy; „przywidzenie” nie dawało mu spokoju i mimo wysiłków nie potrafił skupić się do pracy...

Historia z gąbką była jakby przygrywką do innych podobnych objawów, które odtąd coraz częściej zaczęły go prześladować. Jakoż niebawem zauważył, że i inne przedmioty w pokoju „szczezają”<sup>17</sup> mu na czas jakiś sprzed oczu, by po chwili wyłonić się z powrotem na dawnym miejscu. Na odwrót, niejednokrotnie spostrzegł na biurku najrozmaitsze rzeczy, których tam nigdy przedtem nie było.

<sup>14</sup>porfir (z gr. *porphyra*: purpura) — efektowna skała magmowa składająca się z jednorodnej lub drobnopiezarnej masy (ciasta skalnego), w której tkwią powstałe wcześniej prakryształy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*spongia vulgaris* (łac.) — gąbka pospolita; prymitywne, beztkankowe zwierzę prowadzące osiadły tryb życia na dnie mórz; mających wodochłonne właściwości gąbek z gatunku *Spongia officinalis* od starożytności używano do utrzymania czystości ludzkiego ciała, obecnie zwykle korzysta się z gąbek kąpielowych wytworzonych z materiałów tekstylnych. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>zaglądnął (reg.) — zajrzał. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>szczezają — od starop. *szczeznąć*: umrzeć. [przypis edytorski]

Najciekawszy jednak w tym wszystkim był szczegół, że fenomeny szły równolegle z chwilowym zainteresowaniem, jakie odczuwał dla tych przedmiotów przed momentem ich zniknięcia względnie wynurzenia się: prawie z reguły myślał o nich przedtem nader intensywnie.

Wystarczyło mu z pewną dozą wewnętrznego przekonania pomyśleć, że np. jakąś książkę zgubił — by po chwili istotnie stwierdzić brak jej w szafie bibliotecznej. Podobnie ilekroć wyobraził sobie w sposób możliwie plastyczny egzystencję jakiegoś przedmiotu na stole, wkrótce przekonywał się naocznie, że rzeczywiście zjawiał się tam jak na zawołanie.

Fenomeny te zaniepokoiły go w wysokim stopniu, budząc poważne podejrzenia. Kto wie, czy to nie nowa zasadzka? Chwilami miało się wrażenie, że to powrotny atak „nieznanego”, tylko przypuszczony z innej strony i w innej formie. Powoli narzucały się pewne wnioski, kształtował się z nieubłaganą wynikliwością pewien światopogląd.

— Czy świat otaczający mnie w ogóle istnieje? A jeśli rzeczywiście istnieje, czy nie jest wytworem kształtującej go myśli? A może wszystko jest tylko fikcją jakiejś głęboko zamysłonej jaźni? Tam gdzieś, w zaświatach, ktoś ciągle, ktoś od prawiaków myśli — a świat cały, a wraz z nim biedny ludzki narodek jest produktem tej wieczystej zadumy!...

Kiedy indziej popadał Odonicz w egocentryczny szal i powątpiewał o istnieniu cze-  
gokolwiek poza sobą. To on tylko wciąż myśli, on, dr Tomasz Odonicz, a wszystko, na co patrzy i co spostrzega, to tylko wytwór jego kontemplacji. Cha, cha, cha! Bajecz-  
ne! Świat jako skrępyły produkt myśli indywidualnej, świat jako krystalizacja myślowego rozczy-  
nu<sup>18</sup> jakiejś szalonej jaźni!...

Moment, w którym po raz pierwszy dotarł do tej ostateczności, zaciążył nad nim fatalnie. Nagle z dreszczem niesamowitego lęku uczuł się Odonicz okropnie samotny.

— A jeśli rzeczywiście tam poza węglem nie ma niczego? Któż zaręczy, czy poza tzw. rzeczywistością w ogóle coś innego istnieje? Poza tą rzeczywistością, której twórcą prawdopodobnie jestem sam? Dopóki w niej tkwię zanurzony po szyję, dopóki mi ona wystarcza — wszystko jako tako. Lecz gdybym tak zapragnął dnia jednego wychylić się z bezpiecznego środowiska i spojrzeć poza jego rubieżę?

Tu uczuł ostry, dojmujący do szpiku kości chłód niby mroźną, polarną atmosferę wiecznej nocy. Przed rozszerzoną źrenicą pojawił się zwid, ścinający krew lodem, zwid pustki bez dna i bez krańców...

Sam, zupełnie sam z myślą swoją samowtór<sup>19</sup>...

---

Któregoś dnia, goląc się przy dużym, ręcznym zwierciadle, doznał Odonicz szczegól-  
nego wrażenia: wydało mu się nagle, że ta część pokoju, którą miał poza sobą, widziana  
teraz w lustrze wygląda „jakoś inaczej”.

Odłożył brzytwę i pilnie zaczął studiować odbicie tylnej partii sypialni. Istotnie przez  
chwilę wszystko tam poza nim przedstawiało się inaczej niż zwykle. Lecz na czym polegała  
ta zmiana, nie umiałby bliżej określić. Jakaś specyficzna modyfikacja, jakies dziwaczne  
przesunięcie proporcji — coś w tym rodzaju.

Zaciekawiony położył lustro na stole i oglądał<sup>20</sup> się, by skontrolować rzeczywistość.  
Lecz nie znalazł nic podejrzanego: wszystko było po dawnemu.

Uspokojony zajrzał ponownie w zwierciadło. Lecz teraz znów pokój wyglądał nor-  
malnie; szczególna modyfikacja znikła bez śladu.

— Hiperestezja<sup>21</sup> ośrodków wzrokowych, nic więcej — uspokajał się naprędce skle-  
conym terminem.

Lecz przyszły następstwa. Odonicz zaczął odczuwać odtąd lęk przed tym, co było poza  
nim. I dlatego przestał oglądać się poza siebie. Gdyby go kto zawołał na ulicy po imie-  
niu, nie odwróciłby się za żadną cenę. Stąd też poszło, że wszelkich nawrotów dokonywał  
drogą okrężną i nigdy prawie nie wracał do domu tą samą ulicą, którą wyszedł. Gdy już  
koniecznie wypadło mu obrócić się, czynił to nadzwyczaj ostrożnie i w możliwie powol-

---

<sup>18</sup>rozczyzn (chem.) — roztwór. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>samowtór (daw.) — sam z kimś wtóрым, w dwie osoby. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>ogłądał się (reg.) — obejrzał się. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>hiperestezja (gr., med.) — przeculica, nadmierna wrażliwość powierzchni ciała na bodźce zmysłowe. [przypis edytorski]

nym tempie, w obawie, by wskutek nagłej zmiany frontu nie spojrzeć twarzą w twarz „temu”. Chciał przez ruch powolny i stopniowy zostawić mu dość czasu do wycofania się, względnie powrotu do dawnej „niewinnej” postawy.

Ostrożność tę posunął w końcu do tego stopnia, że mając zamiar oglądnać się, przedtem „ostrzegal”. Ilekroć przyszło mu odejść od biurka w głąb pokoju, wstawał najpierw z ostentacyjnie hałaśliwym odsunięciem krzesła, po czym mówił głosem podniesionym, żeby go tam dobrze „z tyłu” słyszano:

— Teraz obracam się.

Dopiero po tej zapowiedzi, przeczekawszy jeszcze chwilkę, odwracał się w zamierzonym kierunku.

Życie w tych warunkach wkrótce stało się istną katownią. Odonicz, skrępowany na każdym kroku tysiącem obaw, co chwila wietrzący czyhające nań niebezpieczeństwo, wiódł egzystencję pożałowania godną...

A jednak i do tego przyzwyczaił się. Owszem, po pewnym czasie owo wieczne czuwanie w stanie napiętych nerwów stało się drugą naturą. Poczucie otaczającej go w każdym momencie tajemniczości, lubo<sup>22</sup> groźnej i niebezpiecznej, rzuciło jakiś posępny urok na szary szlak jego życia. Powoli, nieznacznie polubił ową grę w chowanego; w każdym razie wydała mu się ona bardziej zajmująca niż banalność zwykłych ludzkich przeżyć. Zapalił się nawet do tropienia niesamowitych poszlak i trudno by mu było obejść się bez świata zagadek.

Ostatecznie sprowadził wszystkie trapiące go wątpliwości do dylematu: albo jest tam coś poza mną „innego”, coś zasadniczo różnego od rzeczywistości, którą znam jako człowiek — albo też nie ma nic — zupełna pustka.

Gdyby go ktoś zapytał, z którą z tych dwu ewentualności wolałby spotkać się po tamtej stronie — Odonicz nie potrafiłby dać stanowczej odpowiedzi.

Niewątpliwie nicość, bezwzględna, bezgraniczna pustka byłaby czymś okropnym; z drugiej strony jednak może nicość nawet lepsza niż straszliwa rzeczywistość innego rzędu? Bo któż wiedzieć może, jakim jest owo „coś” naprawdę? A jeśli jest nim coś potwornego — czyż nie lepszy zupełny zanik niebytu?

To zawieszenie między krańcami stało się zaczynem walki dwóch sprzecznych tendencji: z jednej strony dławił go w stalowych szponach strach przed nieznanym — z drugiej pchała w objęcia tajemniczości wzrastająca z dniem każdym tragiczna ciekawość. Jakiś przezorny, doświadczony głos przestrzegał wprawdzie przed niebezpieczną decyzją, lecz Odonicz zbywał rady pobłażliwym uśmiechem. Uwodne<sup>23</sup> dajmonium przywabiało go coraz bliżej syrenim czarem obietnic...

I wreszcie uległ mu...

W jakiś jesienny wieczór siedząc nad otwartą książką, nagle wyczuł poza plecyma<sup>24</sup> „to”. Coś działo się tam poza nim: rozsuwały się tajemnicze kulisy, dźwigały w górę kotary, rozchylały się fałdy draperii...

Wtedy niespodzianie powstało szalone pragnienie: oglądnać się i spojrzeć poza siebie, ten tylko raz, ten jeden, jedyne raz. Wystarczyło odwrócić szybko głowę bez zwykłego ostrzegania, żeby nie „spłoszyć” — wystarczył jeden rzut oka, jedno krótkie, momentalnie krótkie spojrzenie...

Odonicz odważył się na to spojrzenie. Ruchem nagłym jak myśl, jak błyskawica oglądnął się i spojrzal. I wtedy z ust jego wyszedł nieludzki krzyk grozy i strachu bez granic; konwulsyjnie chwycił się ręką za serce i jak piorunem rażony zwał się bez życia na posadzkę pokoju.

## W domu Sary

Już na ostatnim posiedzeniu w klubie zachowanie się i postawa Stosławskiego bardzo mi się nie podobały. Ten zwykle wesoły i otwarty człowiek zmienił się do niepoznania.

<sup>22</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>uwodny — dziś: uwodzicielski. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>plecyma (daw.) — dziś popr. forma: plecami. [przypis edytorski]



W dyskusji nie brał prawie udziału lub też wygłaszał zdania bez związku z poruszonym tematem, budząc zdumienie obecnych; u kilku złośliwych zauważyłem nawet ironiczne spojrzenia, zwrócone w stronę mego niefortunnego druha. Usiłowałem bronić go, wiążąc gwałtem rzucone przezeń słowa z tokiem prowadzonej rozmowy — wtedy uśmiechnął się blade, jakby dziękując mi za ratunek, i do końca już milczał uparcie.

W ogóle sprawiał już wtedy nader przykre wrażenie. Nie tylko bowiem raziała dziwna małowówność, tak sprzeczna z dawnym usposobieniem, lecz niepokoił też zagadkowy wygląd zewnętrzny. Zwykle wyświeżony, nawet przesadnie elegancki, przyszedł Stosławski tego wieczora w stroju zaniedbanym, niemal opuszczony. Twarz niegdyś zdrową, tryskającą młodym, bujnym życiem, oblekła chorobliwa bladeść, oczy przesłoniła mgła zadumy, której bezwład i beztreściwość tworzyły bolesny kontrast ze szlachetną linią rysów.

Tknięty złym przeczuciem, zaprosiłem go po sesji do siebie i poddałem troskliwym oględzinom lekarskim. Nie opierał się, chociaż już była pora spóźniona, i pozwolił się zbadać cierpliwie. Oprócz znacznego wyczerpania nerwów i ogólnego osłabienia nie znalazłem nic podejrzanego. Zastanawiała tylko przyczyna.

— Ej, Kaziu! — zażartowałem, grożąc mu palcem. — Za dużo się bawisz! Kobiетки, co? Za wiele, mój kochany, za wiele! Musisz uważać więcej na siebie. Tak dalek iść nie może<sup>25</sup>. Wyczerpiasz się wkrótce. A potem, co?

Potrąciłem o właściwą strunę.

— Kobiety — zauważył w zamyśleniu — kobiety... Dlaczego mówisz o wielu, nie o jednej?

— O ile cię znam, mój kochany — odparłem uśmiechnięty — żadnej dotąd nie udało się usidlić zepsutego ulubieńca płci pięknej. Czyżbyś się naprawdę tak gwałtownie zmienił? Trudno przypuścić, żebyś był zakochany.

— Użyłeś tylko niewłaściwego wyrażenia. Czy nie przypuszczasz poza miłością i chwilową żądzą innej ewentualności?

— O czym myślisz?

— O opętaniu płciowym. Rozumiesz mnie?

— Nie bardzo.

— Ależ to nader proste. Pewnego pięknego dnia spotykasz wyjątkową kobietę, uosobienie płci, i odtąd, od pierwszego z nią stosunku, nie możesz się z nią rozstać. Nienawidzisz jej, rad byś zrzucić kajdany, lecz wysiłki są nadaremne. Jesteś opętany jej płcią najzupełniej; cały widnokrąg myślowy zamyka się w wyłącznym kole jej ciała, jej kształtów, spojrzeń, dotknięć, obcowanie fizyczne z nią staje się formą bytu. Kobieta przeradza się w bożyszczę złe i nienawistne, lecz niemniej ponętne, któremu musisz ulegać bezwzględnie...

— To tylko wzmógłony popęd płciowy samca, który znalazł swój typ.

— Mylisz się; to rodzaj trwałej sugestii hipnotycznej na jawie. Ja po prostu nie mogę myśleć o czym innym, tylko o niej i — co najohydniejsze — o jej płci i szczegółach z nią związanych. Czuję, że to mi jest narzucone wbrew mej woli i nawet popędowi; posiadałem kobiety piękniejsze i bardziej pociągające od niej, a przecież odchodziłem z lekkim sercem, zrywając bez wahania. Tutaj nie mam siły.

— Widocznie tamte nie odpowiadały wszystkim warunkom, jakie spełnić powinien twój ideał kobiecy.

— I to mylne. Zdaje mi się, nie — raczej wiem na pewno — że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi. Czy uwierzysz, że zaszedł tu z jej strony rodzaj uwiedzenia?

— Cha, cha! Tego już za wiele! Kazio Stosławski czystym Józefem<sup>26</sup>! To mi rafinada<sup>27</sup> seksualna, co się zowie!

— Nie, Władku! Nie chcesz mnie zrozumieć. Nie chciałem się do niej zbliżyć zanadto pod wpływem nieokreślonej jakiejs obawy. Miałem dziwne przeczucie.

— Lecz w końcu uległeś?

<sup>25</sup>tak dalek iść nie może — dziś raczej: tak dalek być nie może. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>czystym Józefem — aluzja do biblijnej opowieści o patriarsze Józefie, który jako niewolnik w Egipcie oparł się próbom uwiedzenia przez żonę dostojnika dworskiego Putyfara. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>rafinada (daw.) — wyrafinowanie, wyszukana wymyślność. [przypis edytorski]

Kobieta demoniczna,  
Wampir, Potwór, Ofiara,  
Kobieta, Męczyzna,  
Erotyzm, Seks

— Niestety. Nie mogłem odmówić. Zresztą kobieta piękna i wtedy wydała mi się w całym tego słowa znaczeniu *une femme charmante*<sup>28</sup>.

— Przystąpiłeś zatem do niej z zapalem nie większym niż do innych?

— Oczywiście. Spełniałem tylko namiętne jej życzenie, z pewną dozą sprzeciwu i obawy.

— No i... po pierwszym akcie oczarowała cię? Doznałeś zapewne nieznanych ci dotąd sensacji?

— I to nie. Wszystkie znam na pamięć. Nie jestem nowicjuszem i wyrafinowanie jest dla mnie rzeczą powszednią. Zachowywała się nawet spokojniej niż inne.

— Czymże więc opętała cię ta kobieta?

— Nie wiem, nie domyślałem się nawet. Lecz zaraz po fatalnym zbliżeniu zrozumiałem, że opanowała mnie bezwzględnie, że stałem się igraszką w rękach demonicznej samicy. Wiedziała, że po pierwszym stosunku zostanę już jej ofiarą, której jej nikt nie wydrze. Wytworzył się między nami szczególny związek, nieuchwytny a mocny pęta, oplątujące mnie coraz ciaśniej, coraz zwarciej.

— Nadużywa cię fizycznie? Jesteś bardzo wyczerpany...

— I na to się uskarżać zbytnio nie mogę. Osłabia mnie, czuję to doskonale, wysysa powoli, systematycznie, nieubłaganie — lecz nie przez częste stosunki...

— Nie rozumiem...

— I ja też nie mogę pojąć, w jaki sposób. Lecz że ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w jakim mnie widzisz, nie ulega wątpliwości. Ta kobieta kradnie mi z zapamiętałością upiora wszystkie siły życiowe — czy pojmujesz, Władku? — Wchłania w siebie ze zjadliwym uporem moje życie, moje młode życie...

— Przestań bywać. Czy nie możesz zdobyć się na męską wolę?

— Nie mogę, nie mogę. Jestem bezsilny. Czy wiesz? Przeprowadziłem się do niej; mieszkamy wspólnie od dwóch lat w jej willi za miastem na Polance.

— Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotykano cię od pewnego czasu na ulicy, w kawiarniach, w teatrze. Czy ona zabrania ci wychodzić?

— Bynajmniej — sam nie mam do tego ochoty. Zrazu nie unikałem towarzystwa ludzi, z czasem zacząłem się ograniczać do sfery wyłącznego obcowania z nią. Nie odczuwam już teraz potrzeby wymiany myśli z ludźmi, z którymi nie mam nic wspólnego. Dziś przypadkiem tylko znalazłem się w klubie. Nic mnie teraz nie zajmuje, wszystko zobojętniało mi doszczętnie... Mój stosunek do świata staje się coraz luźniejszy! Idę w jakimś kierunku odśrodkowym, zawisłem jakby między niebem a ziemią. Dziś jeszcze zdaję sobie z tego sprawę, lecz kto wie, jak będzie potem...

Patrzyłem nań badawczo, z głębokim współczuciem.

— Źle z tobą, Kaziu — przerwałem po chwili zaległe milczenie — trzeba się leczyć. Masz rozstrojone nerwy. Może zupełnie niesłusznie posądzasz ją o ujemny wpływ; może zarody choroby tkwiły w tobie przed tą znajomością?

Potrząsnął przecząco głową:

— Nie, mam pełne przekonanie pod tym względem. Zauważyłem w sobie symptomy w rok po wspólnym pożyciu. Zresztą to nie jest rozstrój nerwowy. W tym tkwi coś zupełnie innego, coś, o czym się nie śniło psychiatrom naszym.

— Być może. Lecz kto jest tym demonem, tym wampirem w kobiecej postaci? Czy możesz mi wymienić jej nazwisko?

— Nazywa się Sara Braga...

— Sara Braga... dziwne nazwisko! Czy to Żydówka? Imię przypomina Stary Testament.

— Nie. Podobno jest protestantką. Rodzina wymarła. Na podstawie jej skąpych informacji doszedłem do wniosku, że płynie w jej żyłach krew dawnych kortezów<sup>29</sup> Kastylii, zmieszana później z pierwiastkiem germańskim; przedstawia typ szczególnego skrzyżowania szczepów. W ogóle trudno mi było dowiedzieć się czegoś więcej, bo o sobie i swej

<sup>28</sup>*une femme charmante* (fr.) — urocza kobieta. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*kortez* (z hiszp. *cortes*: dwory) — tu zapewne: członek Kortezów, stanowego zgromadzenia przedstawicielskiego w dawnych państwach Półwyspu Iberyjskiego, grupującego przedstawicieli rycerstwa i duchowieństwa oraz delegatów miast. [przypis edytorski]

przeszłości mówić nie lubi. Przed laty miała owdowieć. Kto był jej mężem, nie wiem; nosi nazwisko swojej rodziny.

— Czy wiek jej ci znany?

— Utrzymuje, że ma lat trzydzieści, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na młodszą. Orientacja w tym wypadku trudna i łatwo się pomylić. Nie używa żadnych sztucznych środków do podniesienia zewnętrznego wyglądu, owszem, ma żywiołowy wstręt do wszelkich kosmetyków i barwiczki<sup>30</sup>. Żyjąc z nią tak blisko, wiem o tym wybornie... Czy uwierzysz, że krążą o niej i jej wieku dziwne pogłoski? Z kilku przypadkiem podchwyczonych aluzji i pólówek służby wywnioskowałem, że Sara jest znacznie starsza, niż się wydaje. Jest to pod każdym względem zagadkowa kobieta. Tajemnica rozsiadła się w jej domu, tajemnica ciemna i zła, jak jego mieszkanka.

Przesunął znużonym gestem ręką po czole:

— Zmęczyłeś mnie, Władku, zmuszając do skupienia uwagi. Mam szalony ból głowy. Żegnaj.

— Wybacz, lecz zrobiłem to z przyjaźni. Zatrwożył mnie twój wygląd. Ból usunę z łatwością; zatrzymaj się tylko jeszcze przez chwilkę: uspię cię na pięć minut i usunę sugestią cierpienie. Czy zgadzasz się?

— No dobrze. Tylko nie zatrzymuj mnie już długo.

Przystąpiłem bezzwłocznie do operacji. Mając wprawę w hipnotyzowaniu, za dwie minuty wprowadziłem go w stan głębokiego uśpienia... Nagle przy poddawaniu sugestii przeciw bólowi głowy wpadłem na pewną myśl. Wiedząc, że trudno mi będzie w stanie normalnym namówić go do powtórnej wizyty u mnie lub w klubie, kazałem mu we śnie odwiedzić mnie za miesiąc o tej samej porze. Prędzej widzieć się z nim nie mogłem, gdyż w tym czasie byłem zajęty intensywną pracą i wyjeżdżałem często. Wydawszy oba rozkazy, wykonałem szybko kilka *passés contraires*<sup>31</sup> i Stosławski obudził się.

— No, jakże się czujesz? — zapytałem.

— Ból ustał zupełnie. Dziękuję ci. A teraz odchodzę. Żegnaj!

— Raczej: do widzenia! Kiedyż do mnie zagłędziesz?

— Nie wiem; może już nigdy. Nie mogę nic obiecywać.

Uściśnął mi mocno rękę i odszedł.

Gdy umilkły już kroki gościa na korytarzu, wróciłem do salonu, w którym unosiły się jeszcze kłęby dymu ze spalonych przez nas papierosów, usiadłem przy kominku i machinalnie gładząc lśniąca sierść mego wiernego Astora, zapadłem w zamyślenie.

— Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... tak!... Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, profesora neurologii, Fr. Żmudy, temu lat kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem: rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę i środki terapeutyczne chorób.

— Trzeba to odszukać i przeglądnąć<sup>32</sup>. Może się dowiem bliższych szczegółów.

Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych roku 1875 odczytałem:

„Sara Braga, zamieszkała w willi »Tofana«<sup>33</sup> na Polance, ur. w r. 1830, lat 45 — organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku — skłonności psychopatyczne na tle seksualnym — objawy psychicznego sadyzmu”.

Następowały skróty dotyczące terapii i wskazanych zabiegów.

— A zatem dziś miałyby lat mniej więcej osiemdziesiąt! Fenomenalne! Nie do uwierzenia!... Stosławski utrzymuje, że młoda i piękna! Chyba to kto inny? Lecz adres miesz-

<sup>30</sup>barwiczka — kosmetyk do malowania twarzy. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*passés contraires* (fr.) — pociągnięcia przeciwne, ruchy rąk wykonywane nad ciałem osoby zahipnotyzowanej mające na celu jej obudzenie. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>przeglądnąć (reg.) — dziś raczej: przejrzeć. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>willi „Tofana” — nawiązanie do postaci Giulii Tofany, straconej w Rzymie w 1659 roku za wieloletnie dostarczanie sporządzanej na bazie arszeniku trucizny, tzw. *Aqua Tofana*, kobietom, które chciały się pozbyć okrutnych mężów. [przypis edytorski]

kania zgadza się przedziwnie. Willa „Tofana” na Polance, to jest w podmiejskiej dzielnicy, rodzaju stołecznego letniska — to brzmi dziwnie! Lecz w jakim związku pozostaje to wszystko z chorobą Kazia? To, co mówił, zbyt było niejasne i podmiotowe, by móc wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Pozostawmy sprawę czasowi.

Jakoż<sup>34</sup> obowiązki zawodowe zmusiły mnie nazajutrz do natychmiastowego wyjazdu. Natłok zajęć i wytężona praca tak mnie pochłonięły, że niemal zapomniałem o historii Stosławskiego. Dopiero po całomiesięcznej nieobecności, wróciwszy do miasta, przypomniałem sobie, że nazajutrz przypada termin pohipnotycznego spełnienia mego rozkazu. I rzeczywiście koło godziny czwartej po południu wszedł do mego salonu automatycznym krokiem Stosławski.

Kazałem mu usiąść, uspiłem ponownie i pochwaliwszy za sumienne wywiązanie się z zadania, obudziłem go.

Oprzytomniawszy, ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, nie mogąc pojąć, skąd się wziął u mnie. Gdy mu wyjaśniłem sytuację, trochę uspokoił się, lecz z twarzy biła niechęć i niezadowolenie.

Przez ten jeden miesiąc przemiany, zauważone przeze mnie ostatnim razem, poczyniły zatrważające postępy: widocznie posuwał się z fatalną szybkością w tajemniczym kierunku.

Zagailem naprędce rozmowę umyślnie o rzeczach błahych, dalekich od jego wyjątkowego stanu, ani słowem nie zaczepiając o stosunek z Sarą. Odpowiadał apatycznie, z wysiłkiem, często rwąc wątek rozmowy wtętami bez sensu, bez zewnętrznych spoiw.

Niebawem spostrzegłem, że nie orientuje się w rzeczywistości i zatracił niemal zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Perspektywa, bryłowość chwil i rzeczy przestała istnieć: wszystko leżało na jednej idealnej płaszczyźnie. Zdarzenia ubiegłe przybrały dramatyczną formę chwili bieżącej, zagadkowe jutro wtargnęło jasnym, oczywistym szlakiem w bezpośrednią obecność jako coś zupełnie równorzędne. Zaginęła bezpowrotnie plastyka rzeczy, ustępując miejsca jakiejś paradoksalnej jednoplanowości.

Blade jak płótno, bez kropli krwi oblicze wyzierało na świat jak maska obojętna na jego sprawy, których złożoność jakby znikła pod naporem tajemnych uproszczeń. Podniesiona w górę alabastrowej białości, prawie przejrzysta ręka czyniła gest wiecznego trwania, niby symbol treści niezmiennej od prawników bytu...

Stał się bezwładny, poruszał się powoli, leniwo, jak we śnie. Obojętnie pozwalał mi się badać. Wystawiłem go pod działanie promieni Röntgena: światło przeszło szybko, natrafiając na anormalnie zmniejszony opór. Wyniki przekraczały rozmiarami dotychczas znane doświadczenia: organizm uległ przerażającej redukcji; w układzie kostnym widoczne były objawy atrofii<sup>35</sup>, pozniakały całe rzesze tkanek, zmarniały całe gniazda komórek. Był lekki jak dziecko; żelazne palce wagi wskazywały na podziałce śmiesznie małą liczbę. Ten człowiek niknął w oczach!

Chciałem go zatrzymać u siebie i o ile by to w ogóle było jeszcze możliwe, przeszkodzić zupełnemu zniszczeniu. Zdawało się, że jego bierność ułatwi mi zadanie i że nie stawi mi oporu. Lecz pomyliłem się. Po dwugodzinnej rozmowie nagle jak automat powstał, zabierając się do wyjścia. Pędziło go do domu, do willi „Tofana”. Zdaje się, że po zniknięciu wszelkich interesów życiowych pozostał tylko ten żywiołowy, niczym niewstrzymany pęd ku niej, ku Sarze, ku której ciążył całą swą marniejącą osobowością. Trudno się było sprzeciwić. Czulem, że jeśli go nie wypuszczę, stanie się coś złego: w oczach jego zapalały się już i gasły ognie niebezpiecznej, nerwowej siły.

Postanowiłem więc odwiedzić go dorożką na miejsce.

Polanka leżała w dość znacznej odległości od środka miasta i dopiero po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u celu.

Pomogłem mu wysiąść i odprowadziłem na marmurowe schody, wiodące do willi. U drzwi wchodowych<sup>36</sup> oszklonej werandy przez chwilę zatrzymałem się niepewny, czy wejść z nim do środka, czy zawrócić. Ogarnęła mnie nagle nieprzemierzalna chęć poznania tej kobiety. Lecz nie śmiałem iść dalej. Stosławskim oczywiście nie krępowałem się zupełnie — zdawał się nie uważać zresztą na moją obecność — lecz zachowanie się lokaja, który

<sup>34</sup>jakoż (przestarz.) — spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się; i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>atrofia — zmniejszenie się; zanik. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

wybiegł na spotkanie, działało hamująco. Starannie wygolony, we wzorowym fraku fagas<sup>37</sup> powitał wprawdzie mego towarzysza głębokim ukłonem, lecz na twarzy jego igrał uśmiech lekceważącej ironii; na mnie patrzył jak na intruza, którego należy bezzwłocznie wyprosić.

Już chciałem wracać do oczekującego mnie fiakra<sup>38</sup>, gdy wtem aksamitna kotara, odziedziczona werandę od wnętrza domu, rozsunała się i na jej oranżowym tle wynurzyła się z głębi postać kobiety.

Nazwać ją piękną, znaczyło uchwycić jej powierzchowność z zasadniczo fałszywego punktu patrzenia. Była raczej demonicznie, szatańsko ponętna. Te rysy nieregularne, mięsiste szerokie wargi i nos silnie rozwinięty nie dawały wrażenia piękna — a jednak twarz o oślepiąco białej, matowej cerze, tym mocniej kontrastująca z płomiennym spojrzeniem czarnych, zionących żarem oczu, przykuwała z nieopisaną siłą. Miała w sobie coś z prostoty żywiołu, który pewny swej władzy gardzi akcesoriami.

Nad przezczystym, cudnie sklepionym czołem rozchylały się łagodnymi falami metalicznie lśniące, krucze włosy, spięte u szczytu królewskiej głowy srebrnym naczółkiem. Ciemnozielona, lekko wycięta suknia z adamaszku spływała gładko wzdłuż wyniosłej postaci, uwydatniając wyborną linię torsu i gibkich, dziewiczo zwartych bioder.

Wzარłem się wzrokiem w jej czarujące, piekielne oczy, skupiając w spojrzeniu całą siłę woli. Odpowiedziała, parując atak. Tak zmagaliśmy się przez chwilę. Wtem spostrzegłem na jej twarzy jakby wahanie, niepewność, obawę; drgnęła niespokojnie. Wtedy, składając głęboki ukłon, rzekłem, ujawszy rękę Stosławskiego:

— Odprowadzam zbiega, polecając go troskliwej opiece łaskawej pani.

I wymieniałem swoje nazwisko.

Sara oddała ukłon skinieniem głowy i odsuwając kotarę, poprosiła do wnętrza; przy tym zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na Stosławskiego, który jak zahipnotyzowany nie spuszczał z niej wzroku. Przykro było nań patrzeć. Jakaś bezwzględna, psia pokora wyglądała mu z oczu, utkwionych w nią bez przerwy, jakieś wiernopoddańcze posłuszeństwo. Na dźwięk jej głosu rzucił się cały ku niej, jakby szukając oparcia, opieki; kobieta uśmiechnęła się pół pogardliwie, pół łaskawie i wstrzymując go niedbałym ruchem ręki, wydała polecenie służce, obojętnemu świadkowi tej sceny:

— Odprowadzisz pana do sypialni; jest znużony, musi odpocząć.

Sługa w milczeniu ujął go pod ramię i niemal wlokąc za sobą, znikł w bocznych drzwiach.

Wszedłem za Sarą do salonu.

Był stylowy. Wysoko sklepiony, o dumnie rozpiętych połowach, cały obity był miękką, jedwabną materią koloru *terra cotta*<sup>39</sup>. Okien nie było; salon rozświetlał masywny pająk zwisający ze środka stropu.

W przedniej części, niemal pustej, stały pod ścianami dwa rzędy krzeseł z perłową inkrustacją na grzbietach i poręczach. Z nisz pomiędzy nimi wychylały się egzotyczne krzewy w dużych srebrnych urnach.

Na dalszym planie, w głębi, wznosiło się kilku stopniami podium zasłane sukniem o soczystej barwie cynobru<sup>40</sup>. Stół na środku estrady z wazą kwiatów okrywała ciężka, przetykana wisiorami berylu<sup>41</sup> kapa. Parę taboretów, wschodnia otomana i smukłe, palisandrowe<sup>42</sup> pianino wypełniały resztę przestrzeni.

Tylną ścianę tworzyła zasłona podobna do kotary u wejścia, zamykając falistym murem ślepe wnętrze.

<sup>37</sup>*fagas* (daw., pogard.) — służący, lokaj, sługa. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*fiaker* (daw.) — doróżkarz. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*terra cotta* (wl. dosł.: wypalona ziemia) — kolor ceglasty. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*cynober* — minerał z gromady siarczków o czerwonym zabarwieniu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*beryl* (gr. *berillos*: morska zieleń) — przezroczysty minerał o szklistym połysku, krzemian berylu i glinu. Jego zabarwione odmiany są kamieniami szlachetnymi, np. zielony to smaragd, niebieski to akwamaryn. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*palisandrowy* — wykonany z palisandru: drewna tropikalnego drzewa z rodzaju *Dalbergia*, o barwie brązowej lub ciemnofioletowej, używanego głównie do wyrobu instrumentów muzycznych i mebli artystycznych. [przypis edytorski]

Stąpałem cicho, wnrzając się w puszyste futra kobierców rozslanych na posadze. Pani wprowadziła mnie na podium i wskazawszy jedno z krzeseł, sama opuściła się niedbale na otomanę<sup>43</sup>.

Usiadłem w milczeniu. Po chwili Sara wyciągnęła rękę w kierunku małego stolika po pudro z papierosami. Spostrzegłszy, że sprzęt stoi trochę za daleko, przystawiłem go do sofy, po czym podałem płonąca zapalke.

— Dziękuję.

Zaciągnęła się dymem.

— Pan nie pali?

— Owszem.

Wyjąłem z sąsiedniej przegródki cygaro i wypuszczając w górę fioletowy kłęb, zauważyłem z uznaniem:

— Bajeczne!

— Nudny pan jesteś. Czy w podobny sposób zabawiasz zawsze kobiety?

— To zależy od ich pokroju. Z panią na przykład trudno mi rozmawiać; łatwo można wpaść we fałszywy ton. Muszę się oswoić.

Sara popatrzyła mi w oczy, usiłując nadać spojrzeniu wyraz jedwabistej miękkości. W tym momencie spostrzegłem w jej rysach uderzające podobieństwo do Stosławskiego. Kobieta zauważyła zdumienie:

— Cóż to panu? Wyglądasz na odkrywca w chwili genialnego wynalazku.

— Istotnie, odkryłem rzecz szczególną.

Podniosła się drwiąco:

— Proszę, coś takiego?... Czy wolno wiedzieć?

— Pani jest dziwnie podobna do Kazia.

Twarz Sary zadrgała:

— Przywidzenie.

— Nie, proszę pani. Jestem dość dobrym fizjonomistą<sup>44</sup>. Zresztą można to wytłumaczyć: życie państwo ze sobą od dłuższego czasu... Współżycie tak bliskie upodabnia.

— Hm... czy to pańska teoria?

— Nie, łaskawa pani — teorię tę, zresztą nie nową, dokładniej roztrząsał przed paru laty doktor Fr. Żmuda.

Przypisując rzekomą teorię Żmudzie, kłamałem, chcąc tylko wprowadzić to nazwisko do rozmowy.

— Fr. Żmuda? — zapytała ciekawie. — Pan może jego uczniem?

— Bynajmniej — wyparłem się energicznie. — Nie znam go nawet. Czytałem tylko jego rozprawkę w miesięczniku medycznym.

— Ach, tak...

— Czy to pani znajomy?

— Tak. Przed rokiem, cierpiąc na lekki rozstrój nerwowy, byłam czas jakiś jego pacjentką. Bardzo miły człowiek.

„Więc to ta sama — pomyślałem — tylko że kurację odbyła znacznie dawniej, bo jeszcze przed trzydziestu dziewięciu laty, to jest w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym. A zatem ta kwitnąca urokiem młodości kobieta miałaby dziś lat osiemdziesiąt! Paradoksalne! Niebysza! A jednak tak być musi; notatki Żmudy i moja pamięć usuwają wątpliwości”.

Patrzyłem na Sarę z nieokreślonym lękiem.

— Czemuż pan tak nagle spoważniał? Myślałby kto, że się czegoś obawiasz?

— Tym razem przywidziało się pani, i to naprawdę. Czegóż bym się miał obawiać? Przejęty tylko jestem wyjątkową jej pięknoscią. Podobne kobiety spotyka się rzadko.

Uśmiechnęła się zadowolona.

— Szkaradny pochlebca!

Uderzyła mnie lekko ręką po ramieniu. Chociaż umiem nad sobą panować, mimowolnie zadrżałem pod tym dotknięciem, odchylając przy tym nieco głowę do góry. Wtedy

<sup>43</sup>otomana — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>fizjonomista — osoba odczytująca charakter osoby z jej twarzy. [przypis edytorski]

wzrok mój padł na szereg portretów zawieszonych na lewej ścianie pokoju. Odłożyłem cygaro i podszedłem do obrazów.

Było ich dziesięć w dwóch szeregach równoległych; rząd górny obejmował pięć wizerunków Sary — pod nim umieszczono podobizny pięciu nieznanymi mi mężczyzn. Od razu rzuciły się w oczy dwa znamienne szczegóły. Na wszystkich portretach wyglądała Sara w jednym wieku, jak gdyby obrazy malowano w bliskich od siebie odstępach czasu. Mimo to na każdym wyraz twarzy był inny, i to — zadziwiająco podobny do rysów jednego z mężczyzn w szeregu dolnym; słowem, każda z pięciu podobizn Sary miała pod względem podobieństwa swój odpowiednik w wizerunkach mężczyzn.

Zajęty studiowaniem obrazów nie spostrzegłem jej niezadowolenia. Dopiero głos Sary, cierpki i zniecierpliwiony, przerwał mi obserwację:

— Skończył pan już tę rewię! Nic tam ciekawego — bohomazy.

— Przeciwnie — doskonale. Co za wyrazistość rysów! Łaskawa pani posiada twarz istic sfinksową: niby ciągle się zmienia, a zawsze ta sama. Lecz i głowy męskie przepyszne — same rasowe typy! Czy to kuzyni? Chyba nie? Zupełnie do siebie niepodobni — każda twarz inna.

— Znajomi — odpowiedziała oschle. — Proszę wrócić; tu — bliżej do mnie — dodała ciepłej i wskazała mi miejsce obok siebie na sofie.

Usiadłem zajęty wciąż tajemnicą męskich twarzy, z których każda przypominała żywo Sarę, chociaż między sobą nie miały punktów styczności.

Widząc me zamyślenie, starała się usilnie rozproszyć zadumę konwersacją. Wkrótce wpadliśmy na ulubiony u kobiet temat i zaczęliśmy rozmawiać o miłości. Sara od razu wzięła ton namiętny, z predylekcją<sup>45</sup> poruszając wypadki krańcowe graniczące ze zwyrodnieniem. Zdradzała niebywałą znajomość wszelkich subtelności płciowych, w których perwersja szła o lepsze z lubieżą. A wszystko umiała podać w formie wytwornej, przedziwnie stylizowanej i ponętnej; chciała widocznie oczarować mnie nie tylko fizyczną urodą, lecz i bogactwem ewentualności erotycznych, jakie w niej tkwiły.

Zrozumiawszy wyraźny zamiar, miałem się na baczości. Jakiś niepojęty strach odpychał mnie od tej kobiety i nakazywał ostrożność. Mimo to, by jej nie zrazić chłodem, udawałem podrażnienie, odpowiadając palącym wzrokiem na spojrzenia jej piekielnych oczu.

Koło dziesiątej wieczorem pożegnałem się, przyrzekając rychłą wizytę.

Nie nastąpiła jednak tak prędko, jak myślałem.

Zawezwany telegraficznie do F., odległego o dwa dni drogi, pojechałem nazajutrz na czas dłuższy, by dopiero w trzy tygodnie potem jawić się ponownie w willi „Tofana”. Na spotkanie wybiegła Sara wśród oznak żywej radości. Gdy spytałem o Stosławskiego, zachmurzyła się i wzruszając lekceważąco ramionami, odparła:

— Nieciekawo.

Pokrywając oburzenie, jakim przejął mnie bezmierny jej egoizm, wyraziłem życzenie zobaczenia się z nim. Przystąpiła niechętnie dopiero na usilne nalegania:

— Nie mogę panu odmówić; lecz musi pan wejść do sypialni, bo stamtąd już się nie rusza.

I wprowadziła mnie przez salon do zacisznej, z wyrafinowaną miękkością urządzonej komnaty.

Widok Stosławskiego zrobił na mnie przerażające wrażenie. Stał przy oknie wpatrzony bezmyślnie w szybę, prawą ręką przebiegając we frędzlach portiery. Nie poznał mnie, może nawet nie spostrzegł.

Na twarzy błąkał się nijaki uśmiech, zwiotczałe, białe jak papier usta poruszały się słabo, składając jakieś wyrazy: coś szeptał. Zbliżyłem się, nasłuchując. Szept był cichy, ledwo dosłyszalny. Lecz ucho mam bystre i pochwyciłem słowa. Było ich parę tylko i powtarzały się bez przerwy jak w automacie: same bezwstydnne, cynicznie pieśzcotliwe słowa...

Było w tym coś tak ohydneho i potwornego zarazem, że zadrżawszy, cofnąłem się do pierwszej sali.

<sup>45</sup>predylekcja — skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

Tutaj już nie było ratunku. Człowiek ten był stracony. Zdenerwowany okropnym obrazem, mimo próśb Sary, wróciłem zaraz do siebie.

Przyszło silne postanowienie. W możność ocalenia Stosławskiego zwątpiłem zupełnie; stan, w jaki popadł, przybrał formy zbyt wybujałe, by marzyć o drodze powrotnej. Pozostawała tylko zemsta — spokojna, rozważna, planowa — bo w walce z nie było jakim przeciwnikiem.

Należało uzbroić się w bezwzględny chłód i odporność na szatańskie wdzięki tej kobiety, której destrukcyjna władza prawdopodobnie rozpoczynała się dopiero z chwilą dopełnienia aktu płciowego. W uszach dźwięczały mi wciąż lekceważone zrazu słowa nieszczęśliwego:

— Zdaje mi się, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi.

Jakąkolwiek rolę odegrał w tej sprawie wpływ Sary, należało strzec się. W każdym razie spostrzegłem, że odczuwa ku mnie niedwuznaczny pociąg, i kto wie, czy już w myśli nie wybrała sobie mnie na następcę. Postanowiłem z tego skorzystać, pozornie przystając na ewentualne propozycje. Lecz należało czekać; było jeszcze za wcześnie.

Tymczasem bywałem u niej często, odwiedzając w każdej wolnej chwili. Lecz od ostatniej sceny w sypialni ani razu nie pozwoliła mi widzieć chorego, snadź<sup>46</sup> obawiając się podejrzeń, które by mogły mnie zniechęcić. Ustępowałem, poprzestając na zabawie w salonie i wspólnej lekturze. Tak upływały dni i tygodnie, w ciągu których obserwowałem coraz silniej skłaniającą się ku mnie namiętność Sary. Lecz ani razu nie pozwoliłem przekroczyć granicy zakreślonej towarzyską formą, potęgując tym jeszcze jej wyuzdaną lubieżność. Moja powściągliwość irytowała, podżegając ogień. Z wolna stawałem się panem sytuacji...

Pewnego wieczoru przyjechałem nieco później, bo już koło dziewiątej, by spędzić chwil parę przy wspólnej kolacji.

Czas był pogodny, czerwcowy. Przez otwarte okno jadalni wnecał się łagodny wietrzyk wieczorny, lekko wydymając koronki firanek. Z parku wsączały się do wnętrza aromaty kwiatów, płynął zapach przekwitających jaśminów. Z alei klonów szły skargi słowików, czasem zabłąkał się cichy poświerk zasypiających świerszczy.

Siedziałem wyciągnięty w fotelu, popijając kawę. Sara grała na pianinie zawrotny taniec derwiszów<sup>47</sup>. Patrzyłem na ruchy jej rąk gwałtowne, fanatyczne, jak dobywały tonny gorące szale, dyszące krwią, pijane. Była piękna w tej chwili. Błędą jej twarz powlókł ciemny rumieniec, oczy miały błyskawice, krągła, cudnie sklepiona pierś poruszała przyspieszonym oddechem zwoje białego peniuaru niby falę pian.

Nagle wśród największego zapamiętania, gdy wsłuchany w grę upajałem się skwarem egzotycznej muzyki, przyszła jak grom myśl o Stosławskim.

Gdzie on teraz, co robi? Może wciśnięty w kąć przyległego pokoju uśmiecha się jak wtedy? A może gra Sary zgałwanizowała na chwilę i ten łachman człowieczy? A wtedy? Jakaż bezdeń rozpaczy skowyczeć musi w tych resztkach człowieczych!

Jak podrzucony zerwałem się z miejsca i kładąc rękę na klawiaturze, krzyknąłem:

— Dosyć! Chcę widzieć Stosławskiego! Natychmiast!

Sara zaskoczona zniemacka wyprostowała się dumnie, mierząc mnie spokojnie oczyma:

— Nie zobaczy go pan.

— Muszę! Rozumie pani — muszę! Dzisiaj, zaraz! W przeciwnym razie...

Lecz nie dokończyłem groźby, bo w tymże momencie szatę Sary zalał szkarłatny odblask, że stanęła przede mną jakby w płomieniach.

— Co to? — zawołaliśmy równocześnie, zapominając o wszystkim.

Oczy nasze skierowane bezwiednie w okno dojrzały spoza szczytów drzew parkowych krwawą lunę pożaru.

Z dali dolatywał już stłumiony przed chwilą przez muzykę gwar zmieszanych głosów i krzyków.

<sup>46</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>derwisz — tu: mewlewita, członek muzułmańskiego bractwa religijnego o charakterze mistycznym, w którym jedną z dróg oświecenia stanowi medytacja w ruchu, podczas wykonywania szybkich obrotów wokół własnej osi; z tego powodu bractwo nazywa się „tańczącymi derwiszami” lub „wirującymi derwiszami”. [przypis edytorski]



Do jadalni wpadła wybladła służba:

— Jasna pani, Polanka pali się! Dom gajowego koło pałacu cały w ogniu!

Sara pytająco zwróciła się ku mnie.

— Proszę wsiąść do mego powozu, który czeka przed bramą — zdecydowałem szybko.

— A pan?

— Zaraz przyjdę — proszę zaczekać w karetce<sup>48</sup> — pojedziemy razem — muszę ocalić portret pani z salonu, ten ostatni, najlepszy...

Wyprowadziłem ją i poleciwszy służącemu, by pomógł wsiąść do pojazdu, sam zawróciłem do willi. Chodziło mi nie o portret, lecz o Stosławskiego. Nie mogłem go zostawić na pastwę płomieni.

Wyważyłem gwałtownie drzwi od sypialni i wpadłem do środka, wołając:

— Kaziu! Kazik! To ja! Gore! Ruszaj stąd! Uciekajmy!

Odpowiedziało milczenie. W sypialni było ciemno, nie widziałem nic. Może zasnął?

Namacałem ręką guzik elektryczny i przekręciłem. Błysk światła spłynął się z okrzykiem grozy wydanym z mej piersi.

Na krześle wysuniętym na środek pokoju ujrzałem galaretowatą postać ludzką kształtem i konturami twarzy przypominającą Stosławskiego. Był przejrzysty na wylot; widziałem poprzez niego rysujące się wyraźnie sprzęty pokoju...

Nie dowierzając wzrokowi, dotknąłem go: ręka natrafiła na coś ustępliwego jak gęsta ciecz. Cofnąłem szybko dłoń; z palców moich ześliznęła się jakaś lepka, kleista treść jak żelatyna i ściekła leniwo na podłogę.

Nagle postać zawałała się, słuzowaty kształt zachybotał w dziwnej rozchwiei i rozpadł się na części. Z przeźroczej masy poczęły wysnuwać się pojedyncze pasma niby mgławicowe pierścienie, które uniosłszy się w górę, bujały czas pewien i szezały nie wiadomo jak w przestrzeni. Po paru minutach nie zostało nic — krzesło było puste: Stosławski rozwiął się bez śladu...

Ze zjeżonym włosem wybiegłem z willi i dopadłszy powozu, kazałem ruszać co tchu. Jechaliśmy w milczeniu oświeceni luną szalejącego pożaru. Sara o nic nie pytała, ja też nie miałem ochoty do zwierzeń.

Po przybyciu do miasta umieściłem ją w jednym z hoteli, a sam spędziłem noc u siebie.

Nazajutrz z dzienników dowiedziałem się, że pożar szczęśliwie ugaszono i willa ocalała. Pospieszyłem z wiadomością do Sary, która natychmiast postanowiła wracać. Odwiozłem ją do pałacyku, by odtąd zamieszkać z nią wspólnie: było to jej gorącym życzeniem. Przystąpiłem bez wahania. O Stosławskim nie mówiliśmy, jak gdyby nigdy nie istniał. Rozpoczęła się druga faza mej znajomości z tą dziwną kobietą...

Od taktyki dotychczasowej nie odstępiałem ani na krok. Chociaż żyliśmy obok siebie w codziennej styczności, stosunek nie przybrał form małżeńskich. Dowodów bezpośrednich na zabójczy wpływ, jaki mogło wywierać płciowe obcowanie z Sarą, wprawdzie nie miałem, lecz instynkt ostrzegał mnie przed zbytnią zażyłością. Grałem wtedy rolę przyjaciela, idealnego opiekuna i doradcy, unikając starannie spółki cielesnej.

Sarę widocznie upór mój rozdrażniał, wznagając chęć przełamania go. Używała tyśiąca środków i półśrodków, na jakie tylko może zdobyć się kobieta ponętna, by przezwyciężyć moją odporność.

I przyznać muszę, że przeżywałem nieraz chwile szalonej pokusy — lecz obraz Stosławskiego, okropna wizja jego ostatniej, szczątkowej formy ziemskiego bytowania tam, w tej przepysznej sypialni mroziła mnie za najlżejszym wspomnieniem, ścinając w łód zapędy krwi.

Moja dziwna powściągliwość zrazu gniewała ją: pierwsze miesiące nienaturalnego współżycia były pasmem gwałtownych scen. Pytany o powód, zwałłem wszystko na karb platonicznego uczucia, jakie rzekomo we mnie obudziła.

— Zbyt wysoko cię cenię, Saro — odpowiadałem zwykle na jej namiętne wybuchy — by odważyć się na użycie fizyczne twego ciała. Umieściłem cię na zbyt górnym piedestale, by móc sięgnąć ręką po ciebie. Nie chcę brukać swego ideału.

<sup>48</sup>karetka — kryty pojazd konny, zwykle specjalnego przeznaczenia, np. karetka pocztowa lub więzienna. [przypis edytorski]

Ciało

Idealista, Kobieta,  
Męczyzna

Wtedy wyszydzała mnie, nazywając zwyrodniałym idealistą lub jeszcze mniej pochlebnymi epitetami. Znosiłem obelgi z zimną krwią, czekając, jak sprawa rozwinie się później.

Tak minął rok. O ile zrazu Sara żywiła nadzieję zwycięstwa, powoli pewność opuszczała ją. Bezskuteczność coraz silniejszych ataków snadź zbijała z tropu — zaczęła patrzeć na mnie ze zdumieniem i — rzecz zastanawiająca — z rodzajem przerażenia. Ten strach odkrył mi pobudki jej postępowania. Po czasie nabrałem przekonania, że chęć pożycia małżeńskiego ze mną nie wypłynęła wyłącznie z popędu, lecz miała znacznie głębsze źródła — była dla niej prawdopodobnie kwestią bytu. Fatalnym stało się dla niej, że uległa momentowi pociągu fizycznego ku mojej osobie — fatalnym dla kobiety, która przywykła do zwycięstw, której dotąd nie oparł się żaden mężczyzna. Z chwilą zadzierżgnięcia sieci na osobniku płci przeciwnej wytwarzał się dla niej zapewne specjalny stosunek, który nosił w sobie zarody niebezpieczeństwa dla stron obu: zależało to tylko od zachowania się mężczyzny. Jeśli uległ i przystał na akt seksualny, Sara miała go w ręku na zawsze. Lecz jeśliby zachował rezerwę, sprawa mogła przybrać obrót groźny dla tej wyjątkowej kobiety. Zdaje się, że w tym wypadku nie mogła przejść spokojnie w ramiona drugiego, nie mogła swobodnie rozpiąć ponownych wnyków na kogo innego — dopóki nie rzuciła pod swoje stopy opornego wybrańca. Dotąd życie jej było zwycięskim pochodem, bezwzględny triumf poskromicielki. Lecz nadeszła chwila odwetu, a ja byłem jego narzędziem. Sara Braga nie mogła zerwać ze mną, nie mogła oddalić mnie mimo daremnych wysiłków.

A siły moje rosły z dniem każdym przez odpór i wzmagałem się w mocy przez nieugiętą wolę. Po roku znikły niemal zupełnie pogroźki i szyderstwa, by przejść w pokorę i prośbę. Sara Braga, dumna, królewska Sara zaczęła błagać i łasić się u nóg moich.

Bo chodziło o jej piękność, urodę, bo chodziło o jej demoniczną młodość, może i o coś więcej jeszcze: może szło o życie.

Po roku naszego wspólnego pożycia Sara zaczęła widocznie starzeć się. Pewnego dnia zauważyłem w jej kruczonych włosach zdradzieckie srebrne linie, a w kątach ust krzyżową sieć zmarszczek. Wyniosła postać traciła powoli dawną elastyczność, piersi przestała prężyć się gibką falą. Sara wędła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem.

Wiedziała o zaszczej zmianie — każde lustro pouczało o tym wiernie — a lustr<sup>49</sup> było tyle we willi!

I wtedy, ku niewymownej radości, rozpacz ujrzałem — piekielną rozpacz dużych, czarnych, ognistych oczu.

Owoc zemsty dojrzewał, dościsnął z cicha, niespostrzeżenie. Siły moje zwielokrotniły się, potężnym spięciem jakby skupiły się we mnie. Czulem tajemniczą pomoc wkoło siebie, stałem się jakimś magnetycznym ośrodkiem, który przyciągał, wsysał z peryferii ukryte energie drzemające w tym domu: nie byłem sam w willi. Zaczęły się rozwijać zagadkowe objawy, występowały coraz śmieiej jakieś dotąd uwięzione prądy, rodziły się jakieś moce. Lecz czulem, że były mi przyjazne, że stały po mojej stronie. I ona je spostrzegła — ze zgrozą, z bezgraniczną grozą dopadniętej zwierzyny, i zwróciła się do mnie po schron, po opiekę. Naiwna! Jakby nie wiedziała, że to ja właśnie je wyswobodziłem.

Odtąd nie chciała sypiać sama, z lękiem wyczekując wieczornych godzin. W domu przez całą noc paliły się światła i jasno było w willi jak w dzień. Ani na chwilę nie rozstawała się ze mną w obawie przed samotnością, w zabobonnym strachu przed czymś okropnym. A gdy usnęła na parę godzin znużona czuwaniem, miewała marzenia straszliwe, bo przez sen nieraz słyszałem jej cichy, stłumiony jęk.

Raz, porwawszy się z łóżka, w białiznie, z rozpuszczonymi włosami przypadła do mnie w obłąkańczym przerażeniu i przytuliła zakrytą dłońmi twarz do mojej piersi.

— Co tobie? Przyśniło ci się co? — zapytałem, sam zdjęty dreszczem trwogi.

— Boję się — wyszeptwała, drżąc jak listek — boję się. Tylko nie odchodź ode mnie! Umarłabym w tym domu ze strachu.

Gdyby nie mój stanowczy upór, byłaby opuściła pałacyk i przeniosła się gdzie indziej. Lecz przeprowadziłem swą wolę: musiała pozostać.

Kobieta demoniczna,  
Wampir, Walka, Kobieta,  
Mężczyzna, Kochanek,  
Mizoginia

<sup>49</sup>lustr — dziś D.lm raczej: luster. [przypis edytorski]

Wreszcie strach, rozpacz i szal bezsilnej wściekłości dosięgły punktu zwrotnego. Pewnej nocy, opętana dławiącą zmorą, z oczyma wychodzącymi z orbit, porwała się w koszuli z łóżka i stanęła nade mną, dysząc ciężko. Z ust jej wyszedł zziębnięty, świszczący szept:

— Bierz mnie, ty kacie jeden! Bierz lub... zginiesz!

W podniesionej ręce błysnęło zimno ostrze weneckiego puginalu<sup>50</sup>.

Uderzyłem ją wzrokiem: ramię sparaliżowane opadło bezwładnie, sztylet wyslizgnął się ze zeszywniałych palców.

— Cha! cha! cha! — zaśmiałem się, siadając w fotelu, na którym po raz ostatni ujrzałem znikającą postać Stosławskiego.

— Cha, cha, cha! I na to, jak widzisz, byłem przygotowany. Chciałaś wiedzieć tyle razy, dlaczego gardzę twym ciałem, dlaczego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. W odpowiedzi przeczytam ci coś ze starych, świętych ksiąg. No, możesz teraz już usiąść tam naprzeciw — tylko nie ponawiaj próby! Byłaby równie zbyteczna. Czy chcesz posłuchać?

Z rezygnacją dobijanej ofiary obsunęła się na dywan.

Wydobyłem z szafki Stary Testament. Księgę tę ostatnimi czasy studiowałem z zapalem, zatapiając się w jej przedziwne tajniki, upojony poezją słowa i głębią treści. Otworzyłem Księgę Trzecią Królewską<sup>51</sup> i głosem spokojnym, przejęty ważnością chwili, odczytałem z rozdziału pierwszego następujący urywek:

„...A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku: a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się.

Rzekli mu tedy słudzy jego: »Poszukajmy królowi, panu naszemu, młodej panienki, niech stoi przed królem i okrywa go, i śpi na łonie jego, a zagrzewa króla, pana naszego«.

A tak szukali panienki pięknej we wszystkich granicach izraelskich, i naleźli Abizag Sunamitkę i przywiedli ją do króla.

A była panienka bardzo piękna i sypiała z królem, i służyła mu...”<sup>52</sup>

Przerwałem, podnosząc oczy na Sarę.

Wyminęła spojrzenie.

— Cóż? Rozumiesz?

Wzruszyła nerwowo ramionami:

— Cóż mnie to obchodzi? W jakim związku pozostaje ten fragment z nami?

— Nie kłam, Saro! Ty rozumiesz wszystko. Ten sędziwy egoista — to twój praojciec i mistrz.

— Mówisz jak szaleniec — odparła, zacinając z pasją wargi.

— Kłamiesz, Saro! Lecz posłuchaj innych wyjątków z Księgi Tobiasza, rozdziałów trzeciego i szóstego. Te wyjaśnią sytuację zupełnie.

— Z Księgi Tobiasza? — wyjąkała jak przez sen.

— Tak, z dziejów Tobiasza i Sary; dziwnym zrządzeniem przypadku jesteś współmiennicą tej szatańskiej kobiety...

„...Tegoż tedy dnia przydało<sup>53</sup> się, iż Sara córka Raguelowa w Rages, mieście Medskim<sup>54</sup>, y ona usłyszała urąganie<sup>55</sup> od iedney służebnicy oycy swego, bo była wydana za siedm mężów, a czart imieniem Asmodeusz pomordował je, skoro do niej weszli...”<sup>56</sup>

Przerzuciwszy kartkę, czytałem dalej z rozdziału szóstego:

<sup>50</sup>puginal — sztylet; krótki miecz. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Księga Trzecia Królewska — wg Septuaginty, w obecnie przyjętej terminologii jest to Pierwsza Księga Królewska. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku... — 1 Krl, 1-4, w tłum. Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>przydało się — dziś: przydarzyło się. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Medskim — dziś: medyjskim, należącym do Medów, starożytnego ludu z pln.-zach. Iranu, który pokonał Asyryjczyków i utworzył potężne imperium, trwające od 614 do 549 p.n.e., pokonane przez Cyrusa II Wielkiego, założyciela imperium perskiego. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>urąganie — uwłaczanie, wymyślanie, ubliżanie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Tegoż tedy dnia przydało się, iż Sara córka Raguelowa w Rages... — Tb 3, 7-8, w tłum. Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

„I odpowiadając, Anioł rzekł:

— Jest tu imieniem Raguel mąż... a ten ma córkę... Sarę... Twoja ma być wszystka majątność jej i masz ją pojąć za żonę...

Odpowiedział tedy Tobiasz i rzekł: »Słyszę, że była wydana za siedmiu mężów, a pomarli; alem i to słyszał, że je czart zamordował... Otoż się boję, by snadź i mnie się to nie stało...«

Rzekł mu tedy Anioł Rafael: »Posłuchaj mnie, a pokażęć, którzy to są, nad którymi czart przemoc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie... wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają... nad tymi czart ma moc...

Ale gdy ją ty pojmiiesz, wszedłszy do łożnicy, wstrzymujże się od niej przez trzy dni, a niczym się innym jedno<sup>57</sup> modlitwami z nią nie będziesz zabawiał<sup>58</sup>».

Zamknąłem Biblię i spojrzałem na Sarę.

Nigdy nie zapomnę jej w owym tragicznym momencie. Rozpacz i wstyd, wściekłość, strach i ogromny, niepojęty ból wypęzły z otchłani tej demonicznej duszy, by zagrać po raz ostatni na twarzy zmąconym akordem dysonansów!

Jak pantera rzuciła się ku mnie z drapieżnie zakrzywionymi palcami:

— Ty lotrze podły! Podeszedłeś mnie, zniszczyłeś, zdeptałeś i teraz jeszcze chcesz się pastwić nade mną!

Chwyciłem mocno zwiniętą do ciosu pięść i rozbroilem:

— Uspokój się, wiedźmo! Dziś to nasza noc ostatnia — jutro opuszczę ten dom na zawsze. Lecz nie spędzisz wraz ze mną tych paru godzin, których jeszcze nie dostaję do brzasku. Obmierzło mi twe towarzystwo. Ponieważ zachowujesz się jak megiera<sup>59</sup>, zostawię cię samą tam w salonie. Chcę odpocząć tutaj sam nareszcie.

Opierającą się zawlokłem niemal przemocą wśród uporczywego szamotania się do skrzącej topielą światła sali. Potem, zamknąwszy za nią drzwi, wróciłem do sypialni i z rozstrojonymi walką nerwami oparłem się ciężko o framugę okna, wpatrując się w kiry<sup>60</sup> nocy...

Wtem rozpruł ciszę głuchy, okropny, rozdzierający krzyk kobiety. Był tak przeraźliwy, tak przejmujący, że mimo wszystko wtargnąłem w powrotem do salonu.

Tu było ciemno. Przed chwilą jeszcze pokój zalany potokami światła, teraz nurzał się w grubej poćmie nocy: pogasły nagle elektryczne lampiony, zmierzchły fantastyczne żyrandole. Krzyk ustał nagle i zapanowała głucha, duszna cisza.

Przejęty nieokreślonym lękiem, przyniosłem z sypialni płonąca lampę. Światło padło na estradę w głębi... Na stopniach ostatnich leżała na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami Sara. Z twarzy jej wykrzywionej okropnie uczuciem grozy patrzyły na mnie zeszkłone w bezruchu śmierci oczy; zginęła momentalnie pod wpływem jakiegoś nieludzkiego przeżalenia.

## Na tropie

Obudziłem się z głową ciężką jak ołów, śmiertelnie znużony. Spojrzałem na zegar: była 12 w południe. Spałem dziś niezwykle długo.

W całym domu cisza skwarne go południa, senne odrętwienie lipcowego upału. Byłem sam. Stary Jan wyniósł się gdzieś jak zwykle do sąsiadów na poobiednią fajeczkę, zostawiając mnie na łasce opatrności.

<sup>57</sup>jedno a. jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>I odpowiadając, Anioł rzekł... — Tb 6, 11–18, w tłum. Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>megiera (pot.) — kobieta klótliva i złośliwa; od imienia jednej z erynii, bogiń zemsty w mit. gr. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>kir — czarna tkanina, symbol żaloby. [przypis edytorski]

Z niewymownym trudem podłożyłem ręce pod głowę, wlepiając wzrok w sufit. Jakies potworne wyczerpanie zawiesiło mi u nóg i rąk gigantyczne ciężary i nie pozwalało dźwignąć się z otomany<sup>61</sup>.

Cofnąłem się pamięcią do dnia poprzedniego, lecz nie znalazłem nic, co by mogło wywołać to isticie homeryczne rozluźnienie członków. Dzień upłynął mi spokojnie na podmalowaniu pejzaży; wieczorem przy blasku księżyca odbyłem małą przechadzkę po mieście, po czym koło 10 poszedłem spać. Oto wszystko.

Więc nie tędy droga. W tym tkwi coś innego. A mozem ja chory? Lecz skądżeby znowu?

Wzrok oderwany od mozaiki stropu mimowolnie padł na stalowy ekran, wysunięty na środek pokoju. Był to mój hipnoskop. W chwilach wolnych oddaję się studiom z tak ciekawej dziedziny jak hipnoza i doszedłem już do dość obiecujących wyników, zwłaszcza w zakresie samousypiania. Wystarczy mi zarzucić parę skupionych spojrzeń w głąb ekranu, a natychmiast zapadam w sen, z którego budzę się o godzinie z góry przez siebie naznaczonej.

W ostatnich jednak czasach zaprzestałem doświadczeń, zauważywszy, że wpływają rozstrajająco na mój organizm, gdyż budziłem się jakiś nieswój i jakby odkształcony.

Mimo to widocznie wczoraj coś mnie skusiło po dłuższej przerwie do podjęcia eksperymentu. Tak przynajmniej kazała przypuszczać pozycja ekranu na środku pokoju; zwykle bowiem stoi pod ścianą.

Dziwiła tylko jedna okoliczność. Nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie, czy istotnie wczoraj wieczorem zaglądałem w hipnoskop. W każdym razie musiało to nastąpić już po powrocie z przechadzki, więc po dziesiątej w nocy. A przecież ostatnim faktem z ubiegłego dnia, jaki mi pozostał w pamięci, była chwila zdejmowania zarzutki, którą zawiesiłem na stojaku. Co się potem stało, nie pamiętam. Prawdopodobnie przyszła mi skądś ochota do autohipnozy, nie omieszkałem jej zaspokoić.

Wszystko więc było wyjaśnione i powód znużenia poniekąd zrozumiały. Chodziło tylko o to, o czym właściwie śniłem i co się ze mną w tym czasie działo. Tu irytowała mnie zawsze szczególna niepamięć, jaka omotywała mi mózg po zbudzeniu się: nigdy nie mogłem sobie niczego przypomnieć.

A perypetie autohipnozy musiały być czasami nader zajmujące. Przekonałem się o tym naocznie w dziwny, przypadkowy niemal sposób.

Pewnego dnia, zbudziwszy się nad ranem, spostrzegłem ze zdumieniem na rusztowaniu przy sztalugach kadłub jakiegoś starego posągu. Kamień był już miejscami zwietrzały i porysowany, mimo to znać było jeszcze ślady mistrzowskiej ręki w bajecznie rysujących się liniach torsu. Nie mogłem zrazu absolutnie dociec, jaką drogą ten fragment dostał się do mej pracowni. Myślałem, że może który ze znajomych chciał mi wypłatać figla, lub że Janowi przyszła ochota uraczenia mnie tym ułamkiem sztuki. Lecz wszelkie dochodzenia spełzły na niczym; każdy wzruszał ramionami i patrzył na mnie jak na szaleńca.

Poddałem więc szczególny nabytek dokładnej obserwacji i po jakimś czasie doszedłem do przekonania, że gdzieś już widziałem ten ułamek o tragicznym rzucie głowy. Przed kilku laty, przechodząc koło starego parku w odległej dzielnicy miasta, spostrzegłem w głębi, na półrozwalonym piedestale silnie zwietrzały posąg bez rąk, ledwo trzymający się podstawy. Robota wpadła mi jednak w oko i zrobiła wrażenie. Jakiś czas nawet nosiłem się z myślą przeniesienia go na paletę. Potem zapomniałem najzupełniej.

Prawdopodobnie tedy w chwili samousypiania, w tym ostatnim momencie, który rozgranicza jawę od snu, przemknęło mi w myśli wyobrażenie posągu, połączone może z chęcią sprowadzenia go do siebie. Tę ostatnią, niemal już pod progiem świadomości zrodzoną myśl zaciągnąłem ze sobą jak niewód<sup>62</sup> w mglistą topiel snu, gdzie drogą auto-sugestii przemieniła się w nieprzearty rozkaz. Poszedłem i przyniosłem.

O tożsamości posągu przekonałem się podczas jednej z przechadzek, którą umyślnie odbyłem wkrótce potem w kierunku wspomnianego parku. Zastałem tu wszystko tak jak przed laty; lecz w miejscu, na którym stał niegdyś zdefektowany tors, obecnie sterczał

<sup>61</sup>*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*niewód* — ciągniona sieć rybacka złożona z stożkowatego worka (matni) i dwóch długich skrzydeł. [przypis edytorski]

nagi, ogołcony postument; tylko paprocie, wybujawszy wysoko ponad brzegi, otuliły go zielonymi splawami, jakby zakrywając ze wstydem bielejącą nagosć.

Do dziś dnia nie mogę przecież zrozumieć, w jaki sposób przeniosłem ciężki, kamienny kadłub z parku do pracowni: zaprawdę potrzeba było do tego sił olbrzymia. Działał tu chyba jakiś wściekły, bezwzględny nakaz wnętrza, jakiś kategoryczny imperatyw, wobec którego nie ma namysłu ni wahania; wszystkie siły zestukratniają się, wszystkie ścięgnię prężą w szalonym wysiłku, by zaspokoić, wypełnić coś, co żarzącymi głoskami wypaliło się we wnękach duszy; dźwiga się jakaś niesamowita, nerwowa moc i pędzi na łeb, na szyję, przez debry<sup>63</sup>, wykroty, łamie, druzgoce, wali w proch do stóp swych wszystko, co staje na zawadzie i dopina celu zziązana, krwią ociekła, lecz triumfująca...

Co mnie jednak najbardziej zaniepokoiło przy tym dziwnym zdarzeniu — to przypuszczalne rozrastanie się do rozmiarów wewnętrznego nakazu owej ostatniej, może całkiem przelotnej myśli w chwili zasypiania. Wszystko zależało od tej ostatniej, niemal w przedśmionku snu wałęsającej się myśli...

Podniosłem się ciężko z postania i zacząłem ubierać się. Po chwili zauważyłem ze zdumieniem, że wdziałem ubranie wizytowe zamiast zwykłego, które noszę codziennie. Czyżby mi Jan przygotował je umyślnie na dzisiaj? O ile sobie przypominam, nie wydałem mu żadnych specjalnych instrukcji, a wczoraj u nikogo z wizytą nie byłem. Być może więc uważał, że moje codzienne szaty już zbyt wytarte i nie wypada mi się w nich pokazywać nawet w „budny”<sup>64</sup> dzień. Już to w ogóle postępował sobie ze mną dość samowładnie. Pocziwina!

Byłem cały tak „zbity”, że nie chciało mi się ponownie przebierać, i włożyłem mój świeżo wykończony, czarny jak kruk tużurek<sup>65</sup>.

Było mi jakoś nieswojo: jakieś trudne do określenia uczucie niechęci czy wstrętu nurtowało we mnie od chwili zbudzenia się; w ustach rozpanoszył się gorzki obrzask obrzydzenia.

Przeszedłem się parę razy po pokoju dla otrząśnięcia się z przykrych sensacji i odzyskania równowagi. Raz, mijając zwierciadło, mimo woli spojrzałem w głąb i przeraziłem się: byłem trupio błydy, oczy błyszczwały mi jakimś podnieconym, fosforyzującym blaskiem, a ręce wykonywały szczególne ruchy. Przypatrzyłem im się z uwagą: wyciągałem je na poziomie bioder równolegle naprzód po jednej linii, potrząsając nerwowo palcami, z których zdawałem się coś opuszczać. Mogłem się zresztą przychwycić na tym tylko na krótką chwilę, bo zauważywszy to, prawie gwałtem opanowałem się, wsuwając ręce do kieszeni. Czyżby nerwowe delirium?...

W sionce odezwało się charakterystyczne pochrząkiwanie i cmokanie z fajeczki: Jan wracał z pogawędki. Jakoż po chwili wszedł niezupełnie znać<sup>66</sup> zadowolony ze mnie.

— No, przecież się pan raz pozbiera! Słyszane rzeczy: spać po południu! Dobudzić się nie mogłem. Było tu jakieś panisko długie, chude jak śmierć. Coś gadał o obrazach. Mówił, że pan śpi, żeby przyszedł później. Nie chciał ustąpić. Więc zacząłem pana trochę i ruszać, ale nie pomogło. Żelazny sen Pan Bóg tej nocy zesłał, kamienny sen.

— Ma Jan słusność. Spałem jak zabity. Ale po co u licha zmienił mi Jan ubranie? Przecież nie prosiłem wczoraj o to.

Stary popatrzył na mnie zdumiony, widocznie teraz dopiero spostrzegając, że jestem w wizytowym tużurku.

— Ja, zmieniać? A dalibóg, to pan już całkiem chyba tego... — tu zrobił przejrzysty znak na czole. — Wyczyściłem tylko to, co znalazłem rano na krześle. Musiało leżeć nowe, to i jest nowe.

Przerwał, coś sobie przypominając.

— Niech no pan poczeka; coś sobie przypomnę... zaraz... zaraz... Aha, tak... a juści tak. Wczoraj wieczór, najakuratniej pamiętam, miał panisko tamto, codzienne, z aksamitną kurtą. A jakże, żebym tak zdrow był. Nic innego, tylko pan sam przed spaniem tamto schował, a inne na dziś położył i zapomniał.

<sup>63</sup> *debra* (daw.) — zarośla; jar, parów. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *budny* (ros. будни) — dzień powszedni. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *tużurek* (z fr.) — rodzaj surduta; element męskiego stroju popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *znać* (daw., jako przysłówek) — widocznie, najwyraźniej, zapewne. [przypis edytorski]

Mówił spokojnie jak zwykle, swym serdecznym, dobrotliwie zręczącym tonem. Lecz oczy jego chwilami spoczywały na mnie z pewnym zdumieniem, jakby czymś zaciekawione.

— No dobrze już, dobrze. Tak, tak, musiałem widocznie sam przemienić ubrania, choć nie wiem dziś po co. Proszę o śniadanie. Dzienniki są?

— A jakże. Właśnie chłopczysko przyniosło. Jakiś tam nadzwyczajny dodatek, telegram, lichy wie co, wsunął mi w łapę. Wziąłem, bo może pan ciekawy. Zaraz przyniosę wszystko.

W parę minut potem dymiła już na stole kawa, rozwierały zapraszająco swe łamy dzienniki.

Wypiłem kawę i zapaliwszy papierosa, zabrałem się do odczytywania dzienników. Nawinał mi się pod rękę ów nadzwyczajny telegram, wybity wyjątkowo wcześniej, bo jeszcze przed wydaniem porannym. Na czele rzucał się w oczy tłustym drukiem tytuł sensacyjnego wypadku:

„Tragiczna śmierć hrabianki W. S.”

Z zasady pogardliwie pomijam wszelkie artykuły z zakresu kryminalistyki; nie lubię krwawych, szpitalnym lub morgą<sup>67</sup> zalatujących wrażeń. I tym razem chciałem już odłożyć tę nadzwyczajność na bok, gdy przelotny rzut oka na czerniejące rzędy liter zatrzymał się na jednym wyrazie. Była nim nazwa pewnej podmiejskiej miejscowości, z którą łączyło mnie parę odległych wprawdzie, lecz dość silnych wspomnień.

Podjąłem wzgardzony telegram i przeczytałem następującą, zresztą zwięzłe podaną wiadomość:

„Dziś w nocy na »Wygñance« zaszedł dziwny, tragiczny wypadek. Nad ranem w jednej z komnat »Czerwonego Zamku«, dziedzicznej własności hrabiów S., znaleziono zwłoki dwudziestoletniej hrabianki Walerii. Śmierć nastąpiła wskutek celnego ciosu, zadanego w serce pugińalem<sup>68</sup>. Innych ran ani obrażeń na ciele dotąd nie stwierdzono. Sprawa przedstawia się ciemno i tajemniczo. Obszerniejszych wiadomości udzielimy w numerze porannym”.

Jak już nadmieniałem, uwagę moją zatrzymała na sobie nazwa miejscowości. Była nią wspomniana „Wygñanka”, rodzaj przysiółka czy podmiejskiego folwarku, oddalonego od miasta niespełna milę<sup>69</sup>. W okolicy tej byłem wprawdzie raz tylko w życiu, lecz doznałem wtedy tak silnego wzruszenia, że złączenie jej nazwy z sensacyjnym wypadkiem skłoniło mnie do wglądnięcia bliższego w sprawę.

Z „Czerwonym Zamkiem” łączyło się wspomnienie przepięknej kobiety widzianej raz przed laty. Byłaby nią właśnie tragiczna ofiara ubiegłej nocy?

Podjąłem z kolei numer poranny, chcąc dowiedzieć się czegoś bardziej określonego. Oto, co znalazłem:

„Tajemnicza zbrodnia!

Okropny wypadek, który zaszedł dziś w nocy ze środy na czwartek w »Czerwonym Zamku«, nosi na sobie piętno czegoś tajemniczego. Po bliższym zbadaniu sprawy wykluczono możliwość samobójstwa; panna Waleria S. padła ofiarą jakiejś mściwej, zbrodniczej ręki. Świadczą o tym następujące, dreszczem grozy przejmujące fakta.

Gdy dziś nad ranem, koło godz. 8, pani Maria S. po jednodniowej nieobecności powróciła do zamku, zastała u bramy wjazdowej niemal całą służbę w trwożnym pomieszeniu; twarze wszystkich zakłopotane z tajonym wylękiem patrzyły w oczy pani. Pani S., tknięta przeczuciem, zapytała o zdrowie ukochanej córki Walerii, którą pozostawiła wyjątkowo w domu. Wtedy wystąpiła w imieniu innych stara piastunka, Nastusia, oświadczając z drżeniem

<sup>67</sup> *morga* (daw., z fr. *morgue*) — kostnica; dawniej ciała zmarłych przechowywano przed pogrzebem w domach mieszkalnych, w budynku kostnicy wystawiano zwłoki osób niezidentyfikowanych w celu ich rozpoznania. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *pugińał* — sztylet; krótki miecz. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *mila* — dawna miara odległości o różnej wartości; mila rosyjska wynosiła ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

w głosie, że panienka albo zasnęła, albo, co nie daj Boże, zasłabła; dotąd bowiem z sypialni nie wyszła, chociaż wczoraj wieczorem zapowiedziała, że wstanie wcześniej, by powitać matkę. Budzić nikt dotąd nie śmiał, zresztą panienka onegdaj zamknęła się od wnętrza, a dostać się do pokoju inną drogą nie można.

Zaniepokojona pani S. natychmiast pośpieszyła na górę i zaczęła gwałtownie potrząsać klamką od drzwi sypialni córki. Gdy po kilku podobnych próbach z wnętrza nie odpowiedziano, zaleciwszy zupełne milczenie, przyłożyła ucho do wlotu klucza, nasłuchując oddechu śpiącej. Lecz wewnątrz panowało głuche milczenie. Wtedy przerażona kazała bezzwłocznie wyważyć zaryglowane podwoje. Po wejściu do środka pierwsze spojrzenie skierowała pani S. na łóżko córki. Oto jaki widok przedstawił się oczom nieszczęśliwej, jak gromem rażonej matki:

Pod kołdryczką białych lilii leżała na wznak z rękoma złożonymi jak do modlitwy Waleria. W piersi, w okolicy serca, tkwiła rękojeść pugi; spod kwiatów, na kołdrze, rąbku koszuli na piersiach i białym wełnistym dywanie przegłądały skrzepłe plamy krwi. Nieszczęśliwa zdawała się spać: przyknięte oczy, twarz cicha, bez rysy bólu nadawały jej wygląd pograżonej w głębokim spoczynku. Lecz serce przeszyte stałą nie biło: w łóżu był trup.

Zawiadomiony telefonicznie przez odchodzącą niemal od zmysłów matkę urząd policyjny wysłał na miejsce zbrodni komisarza i rzeczoznawców. Jak wykazała ekspertyza lekarska, zginęła p. Waleria wskutek niezwykle celnego ciosu zadanego sztyltem długości 1½ dm w prawą komorę sercową. Udar był silny — pugił zanurzył się po rękojeść. Najprawdopodobniej śmierć nastąpiła momentalnie, bez przebudzenia się ofiary. Świadczą o tym zamknięte oczy i pogodny wyraz twarzy.

Rzeczoznawcy utrzymują, że zamachu dokonano już po północy, między godziną drugą a trzecią nad ranem.

Z kolei przystąpiła policja do poszukiwań za zbrodniarzem. Tu od razu napotkano na niezwykle trudności. Przede wszystkim wysunęła się na plan pierwszy kwestia motywów. Rabunek, chęć zysku są stanowczo wykluczone; w sypialni jak i w całym zamku wszystko znaleziono nietkniętym. Więc chyba zemsta lub zazdrość. Tu wyłoniło się pytanie: czy sprawcą zbrodni jest kobieta czy mężczyzna? Pytanie, na które dotąd nikt nie zdołał dać stanowczej odpowiedzi. Zmarła była kobietą niezwyklej urody; musiała mieć bez wątpienia wiele nieprzyjaciółek, budzić niejednokrotnie chęć współzawodniczenia wśród mężczyzn.

Zrazu sądzono, że do orientacji pomogą lilie, pod którymi znaleziono zwłoki: szczegół dziwny, pełen ponurej, cmentarnej poezji. Lecz tu sprawa utknęła bez wyjścia; większość uznała go za przebiegły środek, użyty dla zmylenia pościgu. Może przyszłość użyć lepszych wyjaśnień. W ogóle podnieść musimy, że poprzez całą tę grozą ziejącą tragedię »Czerwonego Zamku« przewija się rys niesamowity i zagadkowy.

Nie wiadomo przede wszystkim, w jaki sposób sprawca mordu dostał się do komnaty sypialnej p. Walerii. Jak zeznała w śledztwie matka, zastała nad ranem sypialnię zaryglowaną od wnętrza. Wyjeżdżając bowiem, kazała córce zamknąć się na noc, izolując ją w ten sposób od służby śpiącej na dole w czeladnej<sup>70</sup>. Obok sypialni ciągnie się długi szereg sal stojących pustką od czasu śmierci pana domu. Zajmują je chyba krewni w czasie rodzinnych zjazdów. Lecz w ostatnich dniach nikogo z przyjezdnych nie było; tylko w pokoju sąsiadującym z sypialnią pań zamku spała krytycznej nocy pokojowa p. Walerii, Małgorzata, która utrzymuje, że nic podejrzanego nie słyszała. Wejścia innego nie ma, okna znaleziono rano pozamykane jak onegdaj wieczorem. Przypuściwszy nawet, że zbrodniarz jakimś dziwnym sposobem, może w porozumieniu z kimś ze służby, wnął się do wnętrza zamku, staje się przed

<sup>70</sup>czeladna (domyślnie: izba) — izba przeznaczona dla czeladzi, tj. dla służby. [przypis edytorski]



nierozwiązalną zagadką, jak dostać się przez zaryglowane drzwi lub zamknięte okna do sypialni bez wywołania łoskotu i obudzenia nim ofiary.

Miejmy jednak nadzieję, że sprawność naszych agentów<sup>71</sup> wkrótce wprowadzi władze na właściwy trop i rzuci jaśniejsze światło na mroczną aferę. Szczegółowe streszczenie śledztwa podamy w numerze wieczornym”.

Przeczytawszy dość pobieżnie to *résumé*<sup>72</sup> dochodzeń, obróciłem stronicę dziennika, by przypatrzeć się podobiznie zamordowanej, którą umieszczono nieco dalej.

Wystarczył mi jeden rzut oka na twarz ofiary, by przekonać się, że podejrzenia me co do jej identity były najzupełniej uzasadnione: p. Walerię znałem; była nią ta sama kobieta, którą przed dwoma laty ujrzałem na krótką chwilę, by się już więcej w życiu z nią nie spotkać. A jednak silne wrażenie, jakiego wtedy doznałem, pozostawiło ślad niezatarty.

Był nim obraz natchniony widokiem tej idealnie pięknej kobiety, wykonany wkrótce potem w przeciągu kilku godzin wytężonej, twórczej pracy. Kreacja ta była dla mnie wyzwoleniem: po skończeniu obrazu odetchnąłem, zrzucając zmoreę smutku od czasu pamiętnego zdarzenia, i zwróciłem się ku pogodnym, bachicznym<sup>73</sup> pomysłom. Pamięć Walerii poczęła przesłaniać się powoli coraz gęstszym woalem, że cała przygoda w końcu wyglądała na przelotną wizję. Dziś pod wpływem straszego jej zgonu wspomnienia odżyły, budząc dawno przebrzmiałe echa.

Podniosłem stopy i usiadłem pod oknem, zacząłem jak najdokładniej przestudiowywać wizerunek zdjęty na miejscu zbrodni. Rycina była wykonana doskonale. Chociaż nieszczęśliwej nie widziałem już od lat dwu, rysy jej oddane z przedziwną wiernością nie pozostawiały ani cienia wątpliwości. Była to ta sama anielska twarz przypominająca subtelnością rysunku ascetyczne, jak z wosku niepokalanej białości wycięte owale świętych dziewic, to samo chłodne marmurowe czoło z charyzmatem niezmaconej pogody. Z tym wyrazem twarzy dziwnie zestrajał się ubiór głowy i tło atlasowej poduszki, które wskutek szczególnego ułożenia fałdów i zgięć utworzyły dookoła jak gdyby szeroki biały kornet. Dłonie skrzyżowane cicho na piersi dopełniały obrazu tej dostojnej, przezystej śmierci. Wyglądała na świętą zakonu, radosną wyzwoleniem z grzesznej ziemi, uśmiechniętą do rozkoszy nieba.

Spała bez troski pod całunem lilii, co jak symbol jej niepokalanej duszy wieńczyły swą siostrę poślubioną Bogu. Nad nią, gdzieś u węzłowia, szukało oko promieniejących szczęściem aniołów dotykających różanymi ustami warg, których nikt dotąd nie całował...

Powoli poprzez natłok przypuszczeń, kombinacji, domysłów wydarło się silne jak śmierć, nieukożone pragnienie zwiedzenia miejsca zbrodni. Szalona jakaś ciekawość wlokła na ponury teren nocnego uczynku, pchała do rozpatrzenia sytuacji.

Zrzuciłem lekkie, sukienne ciżmy i sięgnąłem po trzewiki pod otomaną. Jakież było me zdumienie, gdy zamiast zwykłych, spacerowych, wydobyłem nowe, przed kilku dniami nabyte lakiery. Wściekły, odrzuciłem je precz i gwałtownie otworzyłem szafkę nocną, w nadziei, że tam znajdę me codzienne obuwie. Lecz poszukiwania były bezskuteczne, bo trzewików nie znalazłem. Zrezygnowany więc, nie chcąc tracić czasu na dochodzenia, wdziałem wżardzone lakiery i wyszedłem z domu drzwiami od strony ulicy, zamknąwszy mieszkanie na klucz.

W pół godziny potem byłem na trakcie, co długą białą wstęgą snuł się ku „Wygnance”.

Było koło trzeciej i słońca złote żary roztopiały się z wolna w dościgłe, ze znojów rana wylęgle ciepło popołudnia.

Małowiczność krajobrazu podniesiona grą słonecznych promieni sprawiała wrażenie rozbieżne z tym, czego by należało się spodziewać; wszystko witałem jako rzeczy przykro rozpoznane, wszystko wracało niemile znajomym<sup>74</sup>. Uwierało przy tym uczucie fałszywego oświetlenia: było przejęskrawione i stąd jakieś inne, niewłaściwe. Zacząłem dobierać w wyobraźni innych naświetleń, by rzeczom przywrócić „właściwy” nastrój i duszę. I tak

Wspomnienia

<sup>71</sup> *agent* (daw.) — agent. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *résumé* (fr.) — streszczenie. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *bachiczny* — żywiołowy, radosny, hulaszczy, rozwiązły, taki jak w kulcie Bachusa, rzymskiego boga wina i płodnych sił przyrody. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *wracało niemile znajomym* — dziś: wracało (jako) niemile znajome. [przypis edytorski]

niespostrzeżenie żółtoczerwone smugi, którymi słońce zasłało skiby łąków, powoli zbladły, zblękitniały, by wreszcie rozblęsnąć srebrnozieloną poświatą księżycza. Świat ściemniał na chwilę, sposepniał na granat, by znów roziskrzyć się światłem białej, miesięcznej<sup>75</sup> nocy.

W jakiejś chwili chód mój jak gdyby zmienił się; przestał być układem ruchów świadomej siebie woli, przybrał charakter czegoś drewnianego: zeszywniał; szedłem jak automat. Z wyprężonymi przed się rękoma szedłem naprzód, wskazując dłonią cel daleki drogi...

Po lewej ścielily się zanurzone we mgłach otawisk<sup>76</sup> łąny zbóż i poruszane wiatrem szemrały tajemnym pochrzęstem kłosów...

Po prawej ciągnął się stary, biały mur najpierw jakiegoś cmentarza, potem parku czy ogrodu, tworząc jedną, długą bez końca linię. Gałęzie kalin, przerzuciwszy się przez zmurzające zręby, chwiały się na wietrze ciche, zwierzając nocy smutek ogrojca<sup>77</sup> śmierci. Delikatne witki wierzb kołysane letnim podmuchem oplakiwały na murach człowieczą smutną dolę. Cień jakiś skurczony przesuwiał się wzdłuż ścian, to w górę piał, to wydłużał, aż w sadzie znikł. Majaki mżyły na drapieźnej, z wapna odartej ścianie. Poznały mnie z daleka i znakami przyzwały do siebie. Poruszały się kłapiącym ruchem ich potworne zuchwy, zakrzywiały krogulczym szponem kosmate ręce, to znów biegly naprzód, zachęcając do naśladowania — złe, rozchichotane, nieuchwytnie...

Naraz coś pod nogami zagrucotało głuchym, dudniącym odzewem: szedłem przez most. Ten łoskot samotny wśród bezdennej ciszy świata był tak straszny, że zwinąłem się w opętańczej trwodze i zatkawszy uszy, zacząłem biec, by dłużej nie słyszeć. Nie mogłem znieść tego dudnienia; przypominało coś okropnego, było aż nadto dobrze znane, choć nieokreślone miejscem ni czasem.

Przebiegłem most, zapuszczając się w aleję topól.

Powiewały majestatycznie gibkimi wierzchołami, podając jedna drugiej wiatrową gawędę. Szeptaly podrzutem gałęzi, sepleniły liści potrząsem. Po szczytach bajka szła, okropna baśń północy, z szumów drzew zrodzona.

Chwiejąc się na nogach, wybrnąłem z alei i stanąłem u wylotu. Noc znikła, zgasło upiorne światło miesięczne, pozapadały się łapczywe cienie: byłem pod zamkiem koło stawiska w ciepłe, słoneczne popołudnie.

Przetarłem oczy, niepewny, czy śnię, czy marzę, i puściłem się wzdłuż murów. Zamek z tej strony przedstawiał się stosunkowo najbardziej dostępne; zresztą zewsząd broniły go spadziste, kolczugą najeżone mury. Z gościńcem łączył go most zwodzony, który na noc cofano na bastiony. Tylko stąd od południa przerwany mur ustępował miejsca wspierającej się o bok grodziska połogiej<sup>78</sup> ścianie.

Więc chyba tędy mógł morderca dosięgnąć połowy wysokości zamku. Lecz i tak pozostawała do pierwszego okna wielka przestrzeń zupełnie gładka, bez śladu wrębów.

Opuściłem głowę bezradnie, bijąc się z tysiącem domysłów. Nie pozostawało nic innego, chyba przypuścić, że zbrodniarz działał w stanie jakichś niezwykle wzmożonych zdolności, pod naciskiem nerwowej, wściekle ześrodkowanej siły, która pcha po gładkich jak szkło powierzchniach, utrzymuje w równowadze nad przepaścią, podnosi od zewnątrz zasuwę od okien, działa lekko, cicho, nieprzeparta, zajadła... Nie mogłem rozwiązać zagadki.

Zniechęcony, zwłaszcza po zauważeniu w pobliżu paru kręcących się indywiduów, które od chwili ciekawie śledziły moje ruchy, zawróciłem na gościniec i wkrótce przesuwałem się znów pomiędzy pierzejami topól.

Spokojne, wystale<sup>79</sup> słońce przeglądało koleją pomykające w dal rzędy drzew, znaczyło chwile rzutami cieni. Gdzieś w dziupli dzieciół kował zapamiętałe, kukulka szczęście wróżyła. Złocista, nagrzana godzina piąta.

„Skąd wzięła się owa zmora miesięczna?” — myślałem intensywnie.

<sup>75</sup>miesięczny (daw., poet.) — księżycowy; *miesiąc*: księżyc. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>otawisko — łąka zarośnięta otawą (trawą wyrastającą po pierwszych sianokosach). [przypis edytorski]

<sup>77</sup>ogrojec a. ogórec (daw.) — ogród. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>połogi — pochyły. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>wystaly — dojrzały. [przypis edytorski]

Najprawdopodobniej wczułem się głęboko w przypuszczalny stan duszy idącego na czyn zbrodniarza w nocy, przy księżycu i przeżyłem jego udrękę. Plastyka i natężenie perypetii świadczyły tylko o mojej wrażliwości. Przebieg niby powtórzonych przeżyć mordercy opierał się co do joty na wynikach, do których doszedłem drogą analizy faktów podanych w dzienniku. Wszystko tedy na pozór było w porządku. A jednak w głębi nurtowały jakieś na pół świadome myśli zadające kłam wszystkiemu, bystre, logiczne, uparte.

Udawałem przecież, że wszystko na miejscu<sup>80</sup>, i cieszyłem się spokojem niezmaconej powierzchni.

Rzeczywiście miałem już tego dość. Tragedia „Wygnanek” wciągała mnie zbyt osobiście w swe czarne wiry, że zachodziła obawa, bym się nie dał im wchłonąć. Ostatecznie pal licha wszystko! Co mnie to obchodzi? Należało z wolna wycofać się.

Lecz szczwana myśl krążyła po objazdach, zmierzając z ukosa do drażliwego punktu. Niepokój nieznośny zapuścił mi w duszę chłodne jak stal wzieniki i już, już zbierał rozpierzchłe chwilowo oka matni, gdy wtem szczególnie zewnętrzny skierował uwagę na co innego i ku mej głębokiej radości nie pozwolił dokończyć skojarzenia.

Zbliżywszy się na odległość paru kroków do fatalnego mostu, uczułem, że przejść go nie zdołam.

Obawa posłyszania owego dudnienia, co głuchym wspomnieniem błąkało się w zaułkach mózgu, rzuciła mnie gwałtownie wstecz. Nie pozostawało nic, jak obejść go spodem.

Bez namysłu porzuciłem gościniec i zacząłem schodzić w rów, na szczęście zupełnie suchy. Zstępując po bujnie trawą zarosłym szkarpie<sup>81</sup> spostrzegłem, że ktoś mnie w tym uprzedził. Darń była miejscami uszkodzona i zdarta i nosiła wyraźnie ślady obuwia powstałe z obsuwania się po zboczu.

Ponieważ rów był na razie suchy, ślady urywały się tuż pod szkarpem. Odkryłem jednak ciąg dalszy po zbliżeniu się na linię mostu, pod którym przewijała się rzeczka, ginąc dalej wśród niezmiernych obszarów nieużytków.

Więc ktoś również porzucił szosę tuż przed mostem. Szczególne! Może z tych samych powodów?

Ponętna ewentualność skłoniła mnie do dalszego śledzenia tropów. Dlatego, przeskoczywszy wąski pas wody, nie wróciłem już na gościniec, lecz zoczyłem w kierunku śladów. Przyjrząwszy się im dokładniej, doszedłem do przekonania, że pochodziły od trzewika męskiego i były trochę szersze od mych lakierów.

Zrazu szły brzegiem rowu równoległe do gościńca, lecz wkrótce kierunek nagle się zmienił: trop skręcił w prawo między pola i nieużytki, znacząc się wyraźnie na gliniastym, wilgotnym podglebiu.

Widocznie nad ranem po pogodnej nocy spadł deszcz i przepoił ziemię: trakt wysechł rychło, gdy grunt niski, ilasty zachował dotąd utajoną wilgoć.

Chociaż droga tędy była ogromnie uciążliwa, przecież nieznamy nie wrócił na szosę, lecz brnął przez puste grząskie pola, bez ścieżek, miedz, drogowskazów, jakby zautomatyzowany, w raz obranym kierunku.

Nie byłbym poszedł za jego przykładem, gdyby nie ciekawość, dokąd też zawiedzie.

Niebawem zastanowiła mnie niejednostajność linii; biegła to w prawo, to w lewo, uskakując dziko na boki, zakreślając dziwaczne zygzaki. Wreszcie utworzyła gwałtowny kabłąk, który obiegłszy szerokim kołem pole, powrócił do punktu wyjścia.

Miałem przed sobą ciekawą zagadkę. Albo był to ślad jakiegoś maniaka, lub też trop człowieka głęboko nad czymś zamyślnego.

Może uparta myśl, zatoczywszy kolisty obieg, stanęła znów u wrót znękanego mózgu; może wędrowca opętała fatalnie jakaś idea, nie wypuszczając go mimo wysiłków z błędnego koliska?

Stanąłem w jego tajemniczym środku i rzuciłem okiem przed siebie.

Z wolna zwinęta w kłębek linia rozprężyła się i popęzła chwiejnie naprzód. Opętaniec przeciął nareszcie magiczny krąg i wyzwalając się z trudem, podążył prosto odruchem

<sup>80</sup>wszystko na miejscu — dziś raczej: wszystko w porządku. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>szkarp — dziś popr.: skarpa. [przypis edytorski]

woli. Jakoś falistość znaków nieznacznie wyrównała się, krok zmęźniał i z bezprzykładną chyżością zmierzał ku miastu.

Nie mogłem nadążyć tym nieludzkim skokom, które garnęły pod siebie parę metrów naraz; ten człowiek widocznie uciekał. Lecz nie spuszczałem go z oka i szedłem tuż za nim.

Było mi ciężko i z biedą podnosiłem nogi. Ilasty i na pół tylko podeschły grunt czepiał się obuwia, które też wkrótce pokryło się ceglastą glinką.

Byłem smutny.

Po znękanej głowie snuły się splątane gęstwy myśli, niby chmurne tumany mgieł pędzone biczami wichury; rozblyskiwały i gasły jakieś ponure światła dźwigane w górę przez nieznaną rękę, zawodziły korowodne tany brzemienne mgławice, bliskie ciekłego spełnienia. Od czasu do czasu dreszcz zimny przebiegał te dżdżyste obszary, fałdując je w spazm bólu...

Na krańcach świata słało słońce ziemiom wieczorne pożegnania, radła<sup>82</sup> skiby koralowym krajem<sup>83</sup>.

Z dali gwarzyło już miasto, konały przeciąglą skargą fabryczne syreny, wpierścieniały się w błękit dymy. Dźwięk mnie doleciał smętny, rozlewny... Poznałem. To trębacz grał na farnej<sup>84</sup> wieży hejnał ku czci Panny Marii. Poważna, czcigodna melodia...

Zacząłem rozglądać się uważniej po najbliższej okolicy. Trop, zdaje się, zbliżył się teraz ku straconemu już dawno z oczu gościńcowi. O ile mogłem się zorientować w położeniu, minąłem już linie podmiejskich browarów i zmierzałem od strony nieużytków ku miastu.

Szedłem z zapartym tchem, spodziewając się, że lada chwila kroki zбочą z pola i zwiną do któregoś domu.

Nagle zabiło mi serce.

Okolica wydała się bardzo dobrze znana; rozpoznałem tylne partie domów wychodzące na ogrody i sady.

Przyspieszyłem kroku z oczyma wpitymi w dziwny trop, głuszac wrzawę nacierających wściekle myśli...

Wtem natknąłem na jakąś zaporę. Podniosłem oczy i ujrzałem się u furtki mego własnego ogródka. Gorączkowo otworzyłem i wszedłem do środka. Ślad wił się bez przerwy dalej, dobiegał samych drzwi mego domu.

Szarpnąłem drzwi. Były zamknięte.

Jakieś atomy dotąd rozpierchłe, porozrzucane jak opilki żelaza, polaryzowały się z przekłętą chyżością porwane przez nadchodzący z dali prąd. Czulem już, czulem nieublagane zbliżanie się porządkującej bezład fali.

Stałem bezradny czas pewien na progu, nie odrywając wzroku od śladów; wszystkie szły do domu, a dom był zamknięty.

Wtem rzuciłem spojrzenie nieco w lewo od wejścia i odkryłem nowe linie odcisków; jeden poczynął się u progu trochę dalej i biegł w głąb ogrodu, drugi jak gdyby wracał, po drodze krzyżując się z tamtym, i docierał z powrotem do wejścia, tylko całkiem z boku, tak że go zrazu nie zauważyłem.

Poszedłem za pierwszym w głąb. Wkrótce ślad skręcił koło rogu domu i podążał między klomby kwiatów.

Nagle zachnąłem się; trop kończył się przy ulubionym klombie białych lilii. Lecz moich jasnych kwiatów nie było — wszystkie wyrwała czyjaś straszna ręka; na środku sterczały tylko złamane łodygi.

— To on!

Gnało mnie do domu, do wnętrza. Nie szukając klucza, z szaloną siłą pchnąłem drzwi i wyważywszy z zawias, runąłem do środka.

Zacząłem na nowo czegoś szukać. Otworzyłem szafę, biurko, stół, przeglądałem wszystkie szuflady, skrytki, wpadłem do pokoiku Jana, przerzuciłem całe stosy rupieci, książek, bielizny. Nie znalazłem nic.

Przypadkiem wzrok padł na szerniałe drzwiczki pieca.

<sup>82</sup>radlić — przeorywać ziemię radłem, prostym drewnianym narzędziem do spulchniania gleby. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>kraj — tu daw.: kraniec, brzeg, koniec. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>farny (daw.) — odnoszący się do fary, tj. kościoła parafialnego. [przypis edytorski]

— Może tam?

Wyrwałem prawie blachę, chciwie zanurzając ręce w czeluść.

Nareszcie głęboko, głęboko natknąłem na coś twardego. Wyszarpnąłem, wydarłem... Było małe zawiniątko: trzewiki moje zawalane po kostki czerwoną gliną i moje codzienne ubranie z aksamitną kurtką.

Rozwinąłem miękkie, zmięte...

— Tak! To ja!

...było zbluzgane krwią Walerii.

## Świadek Materna

Gdyby ktoś zniecała zagadnął w owym czasie Maternę, nad czym tak ustawicznie prze-myśliwa, spotkałby się z pewnością z ponurym spojrzeniem jego czarnych, mocnych oczu i z... milczeniem. Ten młody, przymierający głodem pod koniec każdego miesiąca aka-demik<sup>85</sup> był za dumny, by skłamać lub dać wykrętną odpowiedź. Więc byłby milczał.

Bo jakżeż przyznać się do myśli, które od dwóch tygodni opanowały wyłącznie jego duchowe wnętrza, rozwiemożniły się w nim z uporem opętania? Jak podzielić się z dru-gimi tymi ohydnie plastycznymi obrazami, w które przyoblekła się wtedy dziedzi- na jego marzeń i pragnień? Było to niemożliwe, absolutnie niewykonalne.

Bezwzględna wyłączność i nasilenie myśli mogło stać się niebezpieczne, nawet groźne. Materna niczego tak nie lękał się, jak swej wyobraźni, jak jej wypukłości, precyzyjności i wykończenia. Wyglądało to na paradoks, a jednak było faktem. Bujność i wyrazistość fantazji, dotychczas źródło jego dumy i próżności, wydała mu się w tym wypadku przy-miotem fatalnym. Coś podszeptowało, by bezwarunkowo wypełnić rozpanoszone zielsko, rozerwać w zarodku bujające jego sploty, jeśli chciał uniknąć nieobliczalnych w swej waż-kości następstw.

Lecz wysiłki okazały się daremne i uporczywa myśl o zbrodni rozkwitła, podobna do kraśnego<sup>86</sup> krwią upiora...

Momentem zaczynu stał się ów wieczór 25 września w Ogrodzie Strzeleckim, na- strojowy wieczór spowity w pierwsze festony<sup>87</sup> jesiennych mgieł i oparów. Znużony wie- logodzinnym rozwiązywaniem zawitych problemów matematycznych, odurzony jeszcze czadem równań, symboli i wzorów, szedł Materna krętą ścieżyną ku platformie szczyto- wej ogrodu. Wczesny zmierzch godziny szóstej zarzucał powoli na świat szare przedziwa i kojarzył się z ciszą ustronia w doskonałą symfonię. Na górze, na placyku okalającym kort tenisowy nie było żywej duszy: samotne, puste ławki dumwały pod arkadami jesionowych splewów<sup>88</sup>, wilgotne od rosy, nasiąkłe spełniającą się mgłą: żółkłe, krwawo pocętko- wane liście klonów szeleściły cicho pod stopą. Gdzieś w dole, na jakimś poddaszu, łkał wieczorny flet...

Wtedy na zakręcie ścieżki, w głęboko cofniętej niszy ogrodowej ujrzał na jednej z ławek oboje Góranowskich, splecionych w uścisku. Poznali go... Przeszedł obok, nie po- zdrawiając. Po chwili zawrócił ku miastu inną ścieżyną...

Szczególny traf kazał mu spotkać ich w tym miejscu po raz pierwszy od dnia zerwania z Rysią i oglądać naocznie szczęście znieawidzonego przeciwnika. Po roku męki, gdy już zdawało się, że wreszcie wywalczył sobie względną równowagę, gdy rozjątrzone ogniska powoli zaczęły przygasać i ból przechodził w stan ścierpłego zobojętnienia...

Noc tę spędził bezsennie przy otwartym oknie i przy wtórze tłukącego się na strychu wichru wypracował myśl, która odtąd prześladowała go zajadle przez dni czternaście, aż do chwili obecnej. Treść jej zamknięta w ramy obrazu przedstawiała się z niezwykłą prostotą. Materna widział przed sobą na owej ławce w ogrodzie swego rywala uduszonego jego własnymi rękoma; uduszonego — nie zastrzelonego; strzał byłby formą zemsty mniej

<sup>85</sup> *akademik* (daw.) — słuchacz akademii, uniwersytetu; student. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *kraśny* — krasny, jaskrawoczerwony a. piękny. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *feston* — element dekoracyjny w formie podwieszonoego po bokach pęku kwiatów czy owoców lub frag- mentu tkaniny upiętej guzami, inaczej girlanda. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *splew* (daw.) — zbieg rzek, spływ. [przypis edytorski]

bezpośrednią, niewymagającą kontaktu fizycznego *corps á corps*<sup>89</sup> — gdy uduszenie dawało pełnię mściwego przeżycia, pozwalało napawać się wzrastającym z sekundy na sekundę strachem ofiary i wyczuwać pod palcami stopniowo zwężające się tętno życia.

Obraz był tak wyraźny i natrętny, że chwilami przechodził niemal w halucynację; zwłaszcza w porze wieczornej, gdy mętniały barwy i zacierały się kontury. Materna zaczął unikać publicznych ogrodów i skwerów z ławkami, gdyż wywoływały one prawie zawsze wizję. Zwidzenie przesłaniało sobą niekiedy obrazy świata rzeczywistego lub też przeglądało przez nie jak przez szybę. Najsilniej rysowały się oczy Góranowskiego — wyszłe z orbit, ścięte szklivem grozy, z białkami wywróconymi do góry, gdzieś daleko w głąb czaszki. Obok na ziemi leżał jego kapelusz — czarny, pretensjonalny „melonik”, którego tak nie cierpiał; ten sam, który widniał obok niego na ławce w ów przekłety wieczór wrześnieowy. Prawdopodobnie spadł mu z głowy w czasie szamotania się z nim, Materną, i potoczył się o parę kroków na trawnik. Góranowski był w lakierkach i czarnym wizytowym stroju. Na gorsie koszuli rozkładał się szafirową plamą żabotowy krawat. Zupełnie jak wtedy. Tylko jej nie widział; postać Rysi była stale wyłączona poza ramy obrazu; jak gdyby nie miała z nim nic wspólnego, jak gdyby nie chciał jej obecności w momencie spełnienia. Bo w jej oczach nigdy by nie zamordował człowieka, o ile w ogóle byłby zdolny do czegoś podobnego.

Pod koniec drugiego tygodnia, gdy uporczywość powtarzających się wizyjnie scenała się nie do zniesienia, wpadł Materna na śmieszny pomysł; sprzedał jakiemuś „handelesowi”<sup>90</sup> jedyne „porządne” ubranie, które miał na sobie w czasie owej fatalnej przechadzki po ogrodzie: solidnie jeszcze wyglądające pepitkowe spodnie, ciemnogrnatowy tużurek<sup>91</sup> i takąż kamizelkę. Rozstając się z tymi rzeczami, miał jakieś głuche przecucie, że przez to „przykłada siekierę do pnia” ścigających go myśli i obrazów. Nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, że przez pozbycie się tego ubrania usunie jeden z głównych czynników, wywołujących ponure skojarzenia. Patrząc za handełesem, unoszącym w triumfie swą zdobycz, doznał uczucia głębokiej ulgi: jak gdyby tracił z oczu niebezpiecznego świadka, który mu ustawicznie przypominał jego czyn imaginacyjny; jak gdyby coś z niego przywarło do ubrania i stało się zaczynem dręczących go zwidzeń.

Na pozór dziwaczny i dziecinny koncept okazał się w rezultacie zbawienny: od tej chwili zmora fikcyjnej zbrodni przestała go nawiedzać. Czy było to wynikiem autosugestii, czy też innych nieuchwytnych na razie przyczyn, nie wiedział. Niemniej fakt pozostał faktem i Materna, jak ozdrowiony po długiej, przewlekłej chorobie, zaczął spoglądać na świat weselej i z większą ufnością. Postanowił nawet z tego powodu za zdobyte pieniądze trochę „uradować sobie duszę” i popić w gronie miłych towarzyszy. Zamiar zrealizował nazajutrz wieczorem z taką precyzją, że koło północy świat cały zataczał mu się w oczach rytmem wściekłego kankana<sup>92</sup>. Dopiero nad ranem otrzeźwiał w jakiejś kawiarni u boku serdecznego druha, który mu wiernie dotrzymał towarzystwa aż do końca. Gdy „dla podtrzymania nadwątlonej energii życiowej” wychylał trzecią z rzędu filiżankę „czarnej”, wzrok jego, zabłądziwszy przypadkiem pomiędzy szpalty jednego z dzienników, zatrzymał się uważniej na kronice wypadków bieżących; zmętniały oczy przesunęły się ospale po pierwszej ich kolumnie, przeszły w górę na drugą i nagle zatrzymały się na skądinąd niewinnym nagłówku: *Niefortunny handetes*.

Zaintrygowany, wziął do ręki gazetę.

„Wczoraj w południe — brzmiała notatka — jakiś podejrzany osobnik okradł na placu Solarnym handlarza starzyzną, Motia Feiga, w chwili gdy ten ostatni był zajęty rozmową z kolegą po fachu. Feig rzucił się w pogoń za złodziejem, lecz wkrótce dał za wygraną, nie czując się na siłach do dalszego pościgu. Przedmiotem kradzieży było świeżo nabyte od jakiegoś »gościa« męskie ubranie, składające się z pary pepitowych spodni i granatowej marynarki wraz z kamizelką. Biedny Feig jest podobno niepocieszony, bo stan

<sup>89</sup>*corps á corps* (fr.) — ciało przeciw ciału (o walce: wręcz). [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*handetes* (daw.) — żydowski uliczny handlarz starzyzną. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*tużurek* (z fr.) — rodzaj surduta; element męskiego stroju popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*kankan* — żywy, skoczny taniec wykonywany w kabaretach. [przypis edytorski]

zachowania skradzionych mu rzeczy był wyjątkowo dobry. — Co za czasy! Kogo już nie okradają?”

Materna uśmiechnął się:

— Interes ze mną nie przyniósł jakoś tym razem Motiowi szczęścia — rzekł, pokazując koledze artykuł.

— Dobrze mu tak! — odpowiedział Wolicki po przeczytaniu notatki. — Nie dość już ponaciągał akademików? A zawsze hultaj zgłasza się pod koniec miesiąca, gdy koło człowieka krucho i gotów oddać ostatnią choćby parę portek za psie pieniądze. Dobrze mu tak, cyganowi<sup>93</sup>. Ale czas już do „budy”. Dzień jak wół. Chodźmy, Władek!

I w różowych humorach wyszli z kawiarni.

Było to w środę dwunastego października rano. Przez cały ten dzień Materna czuł się wybornie, nie mogąc wyjść ze zdumienia nad faktem, że nękająca go od dwóch tygodni zmora usunęła się tak nagle, jak nagle przyszła. Równocześnie przeniknięty był głęboką wdzięcznością i współczuciem dla Motia. Biedny, obdarty i wiecznie zachrypnięty Żydek urósł mu w oczach do znaczenia męża opatrnościowego, stał się czymś w rodzaju ducha opiekuńczego, który wyprowadził go „z domu niewoli”. Brała go nawet ochota, by odszukać handelesa i w jakiś sposób osłodzić mu dotkliwą stratę. Lecz ostatecznie zamiaru zaniechał z obawy przed ośmieszeniem się.

A w czwartek po południu, w drodze powrotnej z „uniwerku” zatrzymał go i przykuł do miejsca na rogu ulicy głos kamlota<sup>94</sup> wykrzykującego sensacyjną nowinę dnia:

— Straszne morderstwo w Ogrodzie Strzeleckim! Telegram „Gońca Porannego”, trzydzieści groszy numer! Tragedia wieczoru jesienno! Po trzydzieści groszy sztuka!

Materna kupił dziennik i wżerał się oczyma w komunikat pt. *Potworna zbrodnia w Ogrodzie Strzeleckim*.

„Dzisiaj, trzynastego bm. — pisał anonimowy sprawozdawca — w godzinach porannych znaleziono w Ogrodzie Strzeleckim na jednej z ławek obok kortu tenisowego w górnej partii ogrodu zwłoki uduszonego mężczyzny. Tożsamości jego na razie nie ustalono. Był to człowiek trzydziestokilkoletni, w czarnym wizytowym stroju z ciemnobłękitnym krawatem. Nogi zamordowanego były obute w lakiery; obok ławki, na której zaskoczyła go śmierć, leżał twardy kapelusz, tzw. melonik, firmy Habiga. Nieszczęśliwy uległ napastnikowi widocznie dopiero po rozpaczliwej walce, której ślady noszą poszarpane ubranie i liczne zadraśnięcia na twarzy i szyi. Morderstwa dokonano prawdopodobnie w celach rabunkowych. Brak papierów przy zmarłym utrudnia stwierdzenie jego tożsamości. Również nie zdołano na razie ująć zbrodniarza. Lecz podobno policja jest już na tropie. Spodziewać się należy, że już najbliższe godziny przyniosą rozwiązanie ponurej zagadki”.

Gazeta wypadła z rąk Materny. Zatoczył się i oparł ciężko o mur kamienicy. Był bliski omdlenia...

Dla niego nie istniała ta zagadka. On znał nazwisko ofiary. O tym nie wątpił. Lecz kim był morderca?

Zachwiana na chwilę pod obuchem faktu przytomność umysłu powoli dźwignęła się i podtrzymywana wysiłkiem woli zaczęła snuć męczące domysły. Powłókł się niepewnym krokiem w głąb miasta.

Góranowski nie żyje! Stwierdzenie tego stanu rzeczy wydało się nieprawdopodobne w swej oschłej, twardej prostocie... Uduşony! Właśnie uduşony! Nie zastrzelony, nie przebity — lecz uduşony; o — tak, po prostu, parą mocnych, głodnych mordu rąk.

Przypadek! Czysty przypadek! Zbieg okoliczności! Bo chyba to nie on, Materna? Co za głupie przypuszczenie! A może? A może!... Idiotyzm! Kretynstwo! W jaki sposób? Kiedy?

<sup>93</sup>cygan — tu w zn.: oszust; określenie to w sposób stereotypowy i krzywdzący łączy przynależność do grupy etnicznej (Cyganie, dziś raczej: Romowie) z zachowaniami przestępczymi (oszustwo). [przypis edytorski]

<sup>94</sup>kamlot (z fr. *camelot*) — uliczny sprzedawca gazet. [przypis edytorski]

I zaczął skrupulatnie przechodzić w pamięci zajęcia swoje i ruchy z dni ostatnich. Nie znalazł nic podejrzanego. Od dwóch tygodni unikał starannie ogrodu na Strzelnicy i umyślnie nie zapuszczał się w jego działnicę. A czyn spełniono chyba niedawno: dziś rano lub wczoraj wieczorem. Ogród — nie las; zwłoki nie mogły długo ująć ludzkiej uwagi. Chociaż — kto wie? Wszystko na świecie możliwe. Zwłaszcza że pora jesienna, mglista. Ogród ten jest na ogół mało odwiedzany. Mogło się zdarzyć, że od kilku dni nikt tam na górę nie zajrzał. A w takim razie?

Maternę porwała wściekłość na samego siebie.

— No więc co w takim razie, durniu? Bardzom ciekaw, co w takim razie?

— W takim razie — odpowiedział mu chłodno jakiś głos przekory — Góranowskiego mógł ktoś zamordować znacznie wcześniej, niż chcesz w nas wmówić; ot na przykład w nocy z wtorku jedenastego bieżącego miesiąca na środę.

— Łżesz, głupcze! — bronił się zaciekle, czując, jak czoło pokrywa mu się zimnym potem. — To niemożliwe! A zresztą, choćby nawet! Co mnie to wszystko obchodzi?

— Usiłujesz zapomnieć, że właśnie całą tę noc z wtorku na środę byłeś poza domem, i to w stanie na pół przytomnym.

— Tak — ale ten filister<sup>95</sup> Góranowski chyba nie miał zwyczaju wysiadywać po parkach nocami. Był na to za wygodny. Zresztą po co? Gdy się ma własny, z takim iście burżuazyjnym smakiem urządzony dom... Cha, cha, cha! Co za idiotyczna argumentacja! A jeśli mu raz w życiu przyszła do głowy właśnie taka romantyczna fantazja? Raz w życiu, na godzinę przed śmiercią? He, he, he!...

Materna ścisłał rękoma pulsujące skronie i próbował nie myśleć. Lecz uparty jakiś rezoner<sup>96</sup> zapuszczał mu coraz głębiej w duszę bezlitosną sondę i wiercił świdrem hipotez i wniosków.

Tak wśród katuszy przeżył parę godzin tego piekielnego popołudnia. O godzinie siódmej pojawiły się nadzwyczajne dodatki gazet i parę wydawnictw wieczornych. Rzucił się na nie z drapieżnością pantery. W kilka minut pochłonął wszystkie i odetchnął. Zbrodniarza wykryto i ujęto. Był nim niejaki Rozbań, notoryczny włamywacz, kilkakrotnie już karany u kradzież i pobicie. Jak donosił jeden z dzienników, Rozbań, ujęty przez władze, od razu przyznał się do czynu. Podobiznę jego zamieścił ilustrowany dodatek „Kuriera Wieczornego” z następującą uwagą:

„Charakterystycznym szczegółem uzupełniającym długi szereg przestępstw tego osobnika jest okradzenie niejakiego Motia Feiga, handelesa z zawodu. Mianowicie w wigilię zbrodni, we wtorek jedenastego bm., w samo południe, Rozbań wydarł z rąk przechodzącemu przez plac Solarny Feigowi świeżo nabyte przez tegoż ubranie męskie i zbiegł z nim szczęśliwie w kierunku rogatki. Lecz, jak sam obecnie wyraził się podczas przesłuchania pierwiastkowego<sup>97</sup>, ubranie to nie przyniosło mu szczęścia: miał je podobno na sobie w chwili dokonania morderstwa, tj. w środę dwunastego bm. wieczorem, i nie zdążył się przebrać w inne przed momentem aresztowania go, które nastąpiło dzisiaj koło godziny piątej po południu. Zbrodniarz zdaje się przywiązywać do tego faktu nadzwyczajną wagę. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia ze znamioną, a tak częstą u ludzi tego pokroju formą złodziejskiego przesądu. »Fatalne ubranie«, które Feig, wezwany w charakterze świadka, natychmiast rozpoznał jako ukradzione mu przed dwoma dniami, składa się z pary pepitkowych spodni, granatowej marynarki i takiegoż koloru kamizelki. Pierwotnym jego właścicielem był podobno jakiś ubogi akademik, od którego odkupił je Motio w »czarną godzinę«”.

Materna odetchnął z ulgą. Na wszelki wypadek — to nie on. A o to głównie chodziło. Pozostawała osoba zamordowanego. Już po pierwszym gorączkowym przejrzaniu gazet zorientował się, że dotychczas policja nie zdołała ustalić jego tożsamości.

<sup>95</sup>filister (pogardl.) — mieszczuch o ograniczonych horyzontach, prozaiczny materialista. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>rezoner (z fr., teatr.) — osoba, której rola polega na wygłaszaniu komentarza odautorskiego podczas spektaklu. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>pierwiastkowy (daw.) — początkowy, tu: wstępny. [przypis edytorski]



A może to przecież nie Góranowski? — błysnął na moment ponętny domysł, lecz zaraz zbladł i wypłowił żrącym ługiem zwątpienia.

— Na wszelki wypadek należy dokładniej przestudiować pisma.

I wstąpił do ulubionej kawiarni na szklankę „czarnej”. Usłużny kelner przyniósł mu cały stos gazet.

— Nadzwyczajny dodatek „Ekspresu Ilustrowanego”, jeszcze ciepły, spod prasy — rzekł poufale, zwracając mu uwagę na jedno z czasopism. — Zawiera podobiznę zamordowanego w Ogródzie Strzeleckim.

Drżącymi rękoma rozłożył Materna dziennik. — Góranowski! — szepnął, ujrzawszy fotografię ofiary, i usłyszał, że szczęka zębami jak w febrze. Lecz jeszcze nim zdołał opanować wzruszenie i odwrócić oczy od twarzy nieszczęśliwego, usłyszał tuż obok siebie jego ironiczny, pewny siebie głos. Nie wierząc uszom, podniósł od gazety szklane spojrzenie i spotkał się oko w oko z rywalem; naprzeciw niego przy sąsiednim stole siedział Góranowski z krwi i kości w towarzystwie starszego jegomościa i fiksował<sup>98</sup> go zajadle. Materna patrzył na niego jak spiorunowany.

— Hi, hi, hi! — śmiał się inżynier, ukazując garnitur drapieżnych jak u wilka zębów — pan radca rzeczywiście przypuszcza coś podobnego?

— Nie tylko przypuszczam — odpowiedział mu jego towarzysz *vis-à-vis*<sup>99</sup> — lecz jestem tego pewny.

Rozmowa obu panów miała charakter czegoś najnaturalniejszego pod słońcem. Materna miał ochotę obu ich, a zwłaszcza Góranowskiego, serdecznie za to uściskać. Rzucił znowu okiem na podobiznę w „Ekspresie”, skonfrontował z rzekomym oryginałem i przekonał się z radością, że jednak Góranowski żyje i że nie zniknął mu jak mara spoza stolika naprzeciw. Lecz wciąż jeszcze nie dowierzał.

— Panie Jasiu! — zagadnął półgłosem przechodzącego obok płatniczego<sup>100</sup>. — Kto jest ten roześmiany pan naprzeciw?

— Inżynier Góranowski — usłyszał pełną oczywistości odpowiedź. — Czy go pan nie zna? Zachodzi często do nas. Jest podobnie jak pan tutaj stałym gościem.

Materna wskazał płatniczemu podobiznę:

— Czy nie wygląda jak bliźniak tego pana?

Jasio spojrział uważnie:

— Szanowny pan ma rację — rzekł, ukradkiem zerkając w stronę inżyniera. — Podobni jak rodzeni bracia. Tylko tamten zdaje się mieć twarz trochę pełniejszą.

— To obrzęk pośmiertny.

— A tak, to możliwe. Uderzające podobieństwo! — I odszedł do pierwszej łoży na prawo, dokąd go wzywano.

Materna pozostał w kawiarni do późna w noc, dotrzymując wiernie Góranowskiemu towarzystwa na dystans i rozkoszując się jego szampańskim humorem; miał dla niego szczerą, głęboką wdzięczność za ten humor i werwę. Gdy wreszcie koło drugiej po północy inżynier wstał od stolika i zabierał się do wyjścia, Materna pożegnał go ukłonem. Góranowski w pierwszej chwili zdębiał. Potem uśmiechnął się, zakaszłał wytwornie i odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

„Głupiec! — pomyślał Materna — głupiec i filister pierwszoklasny, lecz niech mu Pan Bóg da zdrowie za to, że żyje”.

Wesołkowa nuta amerykańskiej piosenki wtargnęła w tok refleksji i nie opuściła go już tej nocy. Z tą melodią w uszach usnął nad ranem snem sprawiedliwego. Ocknął się dopiero późnym wieczorem. Był wypoczęty i głodny. Wybiegł na miasto i zjadł tanią kolację w studenckiej garkuchni. Potem z nie mniejszym apetytem rzucił się do przeglądania czasopism; polował przede wszystkim na sprawozdania z przebiegu śledztwa w sprawie mordu; dziwnie go ta kwestia obchodziła.

<sup>98</sup>fiksować kogoś (daw.) — patrzeć uporczywie na kogoś. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>vis-à-vis (fr.) — naprzeciw; tu: osoba siedząca naprzeciw, po drugiej stronie stołu. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>płatniczy — kelner płatniczy, sprawujący stały nadzór nad rewirem i wyznaczony do jego obsługi zespołem kelnerów; wita gości restauracji, przyjmuje od nich zamówienia, które przekazuje podwładnym, sporządza rachunki oraz pobiera należność. [przypis edytorski]

— *Stwierdzenie tożsamości zamordowanego w Ogrodzie Strzeleckim* — przeczytał nagłówkę w rubryce kroniki codziennej „Kurierza Wieczornego” i przebiegł szybko oczyma treść zwięzłej notatki:

„Mężczyzną uduszonym onegdaj w ogrodzie na Strzelnicy — donosił dziennik — jest Stanisław Wierocki, przemysłowiec z Łodzi, przybyły do naszego miasta przed paru dniami dla załatwienia interesów rodzinnych. Ponieważ Wierockiego nikt tutaj nie znał i nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów osobistych, nie zdołano go od razu zidentyfikować. Dziś tożsamość nie ulega wątpliwości, stwierdził ją brat zamordowanego, Adam, który zaniepokojony dłuższą jego nieobecnością przyjechał dziś rano do Ł. Śp. Wierocki osierocił żonę i troje dzieci. Morderca jego, Michał Rozbań, usiłował wczoraj w nocy w więzieniu odebrać sobie życie, lecz zamiar udaremnilo; złoczyńca wkrótce będzie odpowiadał za swój czyn przed sądem przysięgłych”.

Materna odłożył gazetę i zamyślił się. Sprawa Rozbana zainteresowała go silniej, niż przypuszczał. Mimo „wyjaśnień” dzienników, mimo zeznań podsądnego, mimo stwierdzonej tożsamości ofiary. A już zdawało się, że uwolnił się definitywnie od tego kompleksu torturujących go myśli, że skończył raz na zawsze z tą „chimerą”<sup>101</sup>. Lecz było to złudzenie. Materna czuł, że mimo wszystko związany jest z tą „awanturą” organicznie. Niewidzialne dla oka ludzkiego, podziemne jej kłacza wysuwały się splotem tysiąca macek i sięgały poń żarłocznie, by wciągnąć go w wiry posępnych kregów. Bronił im się rozpaczliwie, lecz bezskutecznie: malstrom<sup>102</sup> zbrodni lechtał mu już lubieżnie stopy i nęcił ku sobie obietnicą ponurych spełnień... „Złoczyńca odpowie wkrótce za swój czyn”. — Czy istotnie tylko za swój, bezwzględnie swój czyn? — Oto zagadnienie! Szczególny zbieg okoliczności postawił je przed nim. Usłużny przypadek narzucił mu je z brutalną siłą. Czy naprawdę tylko przypadek? A jeżeli poza tym było coś istotnego?...

Gdyby nie to podobieństwo do Góranowskiego, to przeklęte podobieństwo! Gdyby nie to miejsce i nie to śmieszne ubranie ukradzione Motiowi — gdyby, gdyby. Lecz właśnie było tak, właśnie tak, a nie inaczej. I ta forma czynu, ten sposób realizacji... Dlaczego go udusił, dlaczego nie zadźgał nożem? Wszak podobno miał go przy sobie w chwili spełniania czynu?... Dusza Materny stała się znów terenem zaciekłych zmagania. Nieubłagany prokuratorski głos odniósł w nim w końcu zwycięstwo. W kilka dni potem odwiedził Rozbana w więzieniu.

Dostęp do mordercy ułatwił mu znajomy sędzia. Spotkanie nastąpiło w godzinach wieczornych, bez świadków. Więzień patrzył nań zrazu spode łba. Może uważał go za wyżła policyjnego, wpuszczonego do celi dla wysondowania motywów zbrodni? Przez parę minut milczał zawzięcie i patrzył na gościa z miną wyczekującą. By wzbudzić zaufanie, Materna przemówił tonem usprawiedliwienia.

— Zapewne jest pan trochę zdumiony moją wizytą? Upewniam pana — nie przychodzę tu z prostej ciekawości.

Rozbań milczał uporczywie, świdrując go przenikliwym spojrzeniem. Materna zapalił papierosa.

— Nie jestem członkiem policji — mówił uspokajająco — ani tajnym detektywem.

— Więc czego pan chcesz ode mnie, do starego diabła? — odburknął wreszcie niegościnnie „gospodarz”.

— Otóż to! To lubię. Lepsze przekleństwo niż uparte milczenie. Nie znoszę ludzi milczących. Budzą nieufność.

— Zamordowałem człowieka — odciął się krótko Rozbań.

— Wiem o tym. I właśnie w tej sprawie tu przychodzę.

— Wynos się pan stąd, pókim dobry! — krzyknął więzień i zacisnął groźnie pięści.

— Nie będę gadał o tym więcej ani słowa, z nikim. Już i tak wszystkie bebechy mnie

<sup>101</sup> *Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *malstrom* — prąd morski o silnych wirach wywołwany pływami w fiordach północnej Norwegii. [przypis edytorski]

bolą od tego wypytywania. Zabiłem tego burżuja, bo mi się tak spodobało, i wiem, że za to będę dyndał. Czego chcecie jeszcze ode mnie? Przecież nie wypieram się niczego.

Materna, niezrażony wybuchem, palił dalej spokojnie papierosa. Rozbań stanął na przeciw i przymknął filuternie jedno oko:

— Pan detektyw chce mnie znów pociągnąć za język i bierze na kawał...

Gość zniecierpliwził się:

— Nie jestem detektywem, powtarzam raz jeszcze — odparł, uderzając w stół pięścią, aż zadźwięczała szklanka. — Przyszedłem tu jak przyjaciel.

— Hi, hi, hi! — szydził Rozbań. — Cie go! Przyjacieli! Nie mam przyjaciół między burżujami.

— Jestem biednym akademikiem — tłumaczył mu Materna — i uważam pana tylko w części za winnego.

— Cha, cha, cha! — śmiał się szczerze rzezimieszek. — A to mi nowina! Pan wie o mnie więcej niż ja sam o sobie. To ci filozof!

Lecz od tej chwili zaczął przypatrywać się gościowi z zainteresowaniem.

— Pan może uczy się na doktora od wariatów? — zapytał podejrzliwie.

Materna uśmiechnął się:

— Zgadłeś. Coś w tym rodzaju.

— To nie ma pan tu czego szukać — warknął znów tamten. — Mam wszystkie klepki w porządku.

— O tym nie wątpię ani na chwilę — uspokoił go Materna — i nie zamierzam z pana robić wariata. Dlaczego właśnie mordując Wierockiego, użył pan do tego rąk, a nie noża, który podobno miał pan przy sobie tego wieczora?

Pytanie zrobiło pewne wrażenie. Rozbań rozchmurzył się i z namarszczoną twarzą wpatrywał się w gościa.

— A to cholera jakaś z pana! — odpowiedział w końcu. — Włazi mi pan z butami do mego wnętrza, jakby tam pan był gospodarzem.

I spojrzął ze szczerym podziwem.

— Kie licho kazało panu o to mnie dopytywać? A czy pan wie, że ja sam siebie o to już parę razy nagabywałem?

Materna nadstawił uszu:

— Jak to?

— Ano tak, bo ja sam nie wiem, dlaczego nie przebiłem go od razu „majchrem”.

— Może coś pana w ostatniej chwili od tego powstrzymało?

Rozbań zamyślił się.

— Powstrzymać — odpowiedział po chwili — nie powstrzymało, ale coś mi jakby szepnęło na ucho, że przyjemniej będzie go udusić.

Maternie błysnęły dziwnie oczy:

— Przyjemniej, powiadasz? Tak, tak — przyjemniej czuć pod palcami wijące się w śmiertelnym strachu ciało wroga, nasycać się widokiem jego męki.

Rozbań przybliżył twarz ku twarzy gościa i związał oczy z jego oczyma.

— Skąd pan wiesz o tym wszystkim? — zapytał. — Ki diabeł panu to o mnie powiedział?

— Tak było, nieprawdaż? — dopytywał się natarczywie Materna.

Rozbań cofnął się, zimny już i spokojny.

— Tak — rzekł ponuro — tak było w tej chwili. Nie chciałem go zrazu nawet zabijać. Bo i po co? Wystarczyło zabrać mu portfel i ten złoty zegarek z łańcuszkiem. Potem nagle, ni stąd, ni zowąd, „piknęło” mi coś, by dźgnąć go nożem. I już wyciągałem z kieszeni „majchra”, gdy przyszła ochota zadusić. Taki mi się ten burżuj nagle wydał obmierzły, tak ci mnie coś do niego pchało z tymi gołymi rękami, że rzuciłem się mu ku szyi, niby ten wilk na przednówku<sup>103</sup> ku końskiej gardzieli. Stało się to w jednej chwili. Dopiero gdy mi się obsunął z ławy, jako ten wór z piachem z rozkrzyżowanymi rękami, przyszło mi na myśl, że całkiem niepotrzebnie zamordowałem. Puszcząć krew — to ta puszczało się

<sup>103</sup>przednówek — okres przed nowymi zbiorami; dawniej najtrudniejszy do przetrwania na wsi okres, kiedy po zimie kończyły się zapasy żywności ze zbiorów zebranych jesienią, a nie można było jeszcze zebrać nowych plonów. [przypis edytorski]

nieraz — ale zakatrupić człeka na amen — to jeszcze ani razu przedtem nie zakatrupił. Ha! Stało się. Pierwszy to mój umrzyk i ostatni.

Zwiesił ponuro głowę.

— A skądże się pan właściwie znalazł w Ogrodzie Strzeleckim tego wieczora? — zapytał Materna.

— Skąd się tam wziąłem? — powtórzył więzień machinalnie i zmarszczył czoło, usiłując odtworzyć sobie w pamięci sytuację. — Dalibóg, nie wiem, skąd się tam wziąłem w ten przekłęty wieczór... Aha! Przypominam sobie. Byłem trochę „chirny”; wywlokłem się tego już „wstawiony” z knajpy na Podwału i poszedłem przed siebie na chybił trafił. Jakies лихо zawiodło mnie na to miejsce. Tfu!

Splunął i rzuciwszy się na łóżko, zapalił papierosa. Materna był z siebie i wizyty zupełnie zadowolony. Podszedł ku „gospodarzowi”, poklepał go po ramieniu i rzekł na pożegnanie:

— Dziękuję panu. Jakoś to będzie.

Rozbań nie raczył odpowiedzieć. Wszedł dozorca więzienny i zwrócił gościowi uwagę na to, że wizyta zbyt się przeciąga. Materna przyznał mu rację:

— Ma pan słuszność. Już idę. *Adieu*<sup>104</sup>, mości Rozbań!

I nucąc piosenkę, wyszedł z celi.

\*

Nadszedł dzień rozprawy. Chociaż proces Rozbania pozbawiony był zupełnie pieprzaka sensacyjno-erotycznego, publiczność tłumnie wypełniła salę; przeważali mężczyźni; zjawili się kilku profesorów uniwersytetu i kilku lekarzy psychiatrów. Podobno parę dni przedtem przebąkiwano na mieście o szczerym zainteresowaniu, jakie okazał podsądnemu jakiś młody, bliżej nieznanym akademik. Być może ta pogłoska zaostrzyła ciekawość ludzką i ściągnęła tak liczne audytorium.

Lecz w miarę rozwoju postępowania sądowego twarze wydłużały się wyrazem rozczarowania: żadnych pikantnych szczegółów, ani cienia psychologicznych subtelnostek, sprawa przedstawiła się jako pospolity mord dla celów rabunkowych, jako jedno z tych nieprzeliczonych stereotypowych przestępstw, które od czasu do czasu wyrzuca na powierzchnię zatruta magma wielkiego miasta. Ludzie ziewali. Nawet przewodniczący trybunału, surowy, dystyngowany pan w birecie, nie ukrywał swego znudzenia, co chwila zasłaniając dłonią usta i spoglądając znużonymi oczyma przez okno na podwórzec więzienny. Szara nuda rozsiała się w sali. Potęgowało ją zachowanie się podsądnego: Rozbań odpowiadał apatycznie, niechętnie, z rezygnacją. Nie usiłował nawet bronić się i każdym niemal słowem paraliżował wysiłki swego oficjalnego obrońcy. Sytuacja stawała się beznadziejna. Zeznania nielicznych świadków, przeważnie funkcjonariuszy policji i rodziny zamordowanego, nie obfitowały w momenty nowe i nie ożywiły monotonii przewodu sądowego. Sprawa była jasna i wyrok zdawał się być z góry przesądzony.

— Będzie wisiał, jak mi Bóg miły! — zwierzał się konfidencjonalnie<sup>105</sup> młodszemu koledze „po fachu” stary wyga sądowy, woźny Skwiercz.

— I mnie się coś tak widzi — przytwierdzał tamten.

Opinię służby podzielała też większość publiki. Toteż obrońca Rozbania miał miłą złoźniarza, któremu powierzono straconą placówkę. Wtedy wystąpił Materna. Stanął przed trybunałem błądliwy i silnie wzruszony: na twarzy wychudłej, z zapadłymi głęboko policzkami, widniały ślady przeżytych zmagania wewnętrznych, w oczach grały ponure blaski. Parę kobiet na widowni wzięło go natychmiast w krzyżowy ogień lornetek.

— Wysoki Trybunał i wy, Szanowni Panowie Przysięgli! — zaczął głosem drżącym od wzruszenia. — Sprawa, którą przychodzi wam dziś sądzić, nie jest tak prosta, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Czyn podsądnego, przedstawiający się na pozór jako pospolite morderstwo dla celów rabunkowych, jest w rzeczywistości wypadkową najróżnorodniejszych czynników i wpływów, których nieubłagany splot zaciążył nad nim fatalnie. Wysoki Sądzie! Zadaniem moim będzie przedstawić panom właściwy rodowód tego czynu. Posłuchajcie!...

<sup>104</sup>*adieu* (fr.) — do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*konfidencjonalnie* (z łac.) — poufale, z zażyłością; w zaufaniu. [przypis edytorski]

Otarł chustką czoło i po chwili wśród absolutnej ciszy mówił dalej:

— Przede wszystkim należy stwierdzić dwa ponad wszystko ważne fakty: po pierwsze, że śp. Wierocki, uduszony przez Rozbana w Parku Strzeleckim, był ludzako podobny do mego osobistego wroga, obecnego tu na sali wśród panów przysięgłych, którego nazwiska nie chcę wymieniać ze względów natury czysto prywatnej i którego nazwijmy dlatego panem B.; po drugie, że przez dwa tygodnie przed czynem Rozbana nosiłem się z upartym zamiarem zgładzenia ze świata wspomnianego B., i to w sposób zupełnie podobny do tego, w jaki Rozbań zamordował śp. Wierockiego. Z tymi dwoma faktami wiąże się trzeci, nie mniej charakterystyczny dla sprawy: Rozbań dokonał czynu w moim dawnym ubraniu, które dziwnym zbiegiem okoliczności wpadło mu w ręce na kilka dni przed zbrodnią. Wysoki Sądzie! Wniosek, jaki wyciągnąłem z tych trzech faktów, wniosek nieodparty, dla mnie oczywisty, choć druzgocący, jest taki: Rozbań był poniekąd symbolicznym realizatorem moich myśli, które ponurą falą zbrodni obległy dom jego duszy, znajdując w nim podatny na swoje podszepty rezonans. Zabójca śp. Wierockiego jest tylko w części winien jego śmierci. Wspólnikiem jego, niestety, jestem ja! Sumienie, ten najwyższy sędzia człowieka na ziemi, każe mi wziąć na siebie część odpowiedzialności za ten czyn. Sędziowie Przysięgli! Należę do kategorii ludzi umiejących myśleć mocno i wyjątkowo plastycznie, do rzędu tych, których myśli lubią przybierać formę silnych, jaskrawymi barwami przesyconych obrazów i unoszą się gdzieś w sferze psychicznego planu w postaci ciemnych, żądnych realizacji wirów. Myśli i chcenia ludzi mojego pokroju — to niby zatrute wyziewy duszy, błąkające się samopas w przestworzach środowiska — to jadowite monady<sup>106</sup>, szukające swych złowieszczych spełnień. Biada temu, w którym znajdują powolne sobie narzędzie, w którego wnętrzu spłyną węzową falą, polaryzując elementy jego jaźni na swoją modłę! Panowie! Nie twierdzę, że Rozbań jest niewinny, lecz z całą stanowczością utrzymuję, że spełniając swój czyn, uległ po części moim zbrodniczym pragnieniom. Nie ulega wątpliwości, że kwitły w nim pewne predyspozycje do zbrodni, lecz też nie ulega dla mnie wątpliwości, że ich skryształizowanie nastąpiło pod moim nieuświadomionym i niezamierzonym wpływem. Rozbań „wyręczył” mnie poniekąd w sposób na poły symboliczny, mordując człowieka podobnego do B. w miejscu, w którym i ja widziałem go oczyma wyobraźni, uduszonego mymi własnymi rękoma. Ponury ten symbolizm akcentuje fakt, że Rozbań dokonał czynu w moim przebraniu. Rozbań, Wysoki Sądzie — to jakby ja w roli mordercy; Rozbań — to mój nieszczęśliwy „zastępca”. Dlatego zechciejcie, Panowie Przysięgli, wydając wyrok na podsądnego, uwzględnić wszystkie podkreślone przeze mnie motywy i nie kierować się wyłącznie zewnętrzną linią zdarzeń. Niewątpliwie, pozory przemawiają przeciw niemu — lecz są to tylko pozory. Pamiętajcie, Szanowni Panowie, że pod powierzchnią tej sprawy tętni głucho podziemne źródło zbrodni. Dlatego błagam was w imię prawdy i sumienia, nie osądzajcie go zbyt surowo. To nie tyle morderca, ile człowiek bardzo nieszczęśliwy... Skończyłem.

Wyczerpany, usiadł Materna z powrotem na ławie świadków, wodząc błędnymi oczyma po otoczeniu. W sali panowała cisza. Nagle skądś, z górnych rzędów widowni, odezwało się tłumione wstydem łkanie...

Podniósł się z miejsca prokurator. Mówił płynnie, ze swadą. Znać było rutynę. Oskarżał ważko, bezwzględnie. Operował nagimi faktami. Nad zeznaniami ostatniego świadka przeszedł do porządku, ostentacyjnie ignorując. Zamknął akt oskarżenia pełnym potępieniem podsądnego i domagał się surowego, sprawiedliwego wyroku. Wywołał wrażenie przygnębiające.

Nie zdołało go zatrzeć przemówienie obrońcy z urzędu. Jego oschła, słabo orientująca się w sferze psychicznych subtelności umysłowość nie umiała czy nie chciała skorzystać z tworzywa obrończego, dostarczonego przez Maternę. Ostatecznie zdobył się tylko na apel do serc przysięgłych i na niepopartą przekonywującymi racjami prośbę o akt łaski. Postępowanie sądowe zamknięto. Na dany znak sędziowie przysięgli usunęli się do przyległego pokoju na naradę. Trwała przeszło godzinę. Przez cały czas nikt z publiczności nie opuścił sali ani na chwilę: naprężone oczekiwanie trzymało wszystkich na uwierzy.

<sup>106</sup> *monada* (gr.) — w filozofii Leibniza: podstawowy byt duchowy, z definicji niezależny od wpływów otaczającej rzeczywistości; biol.: organizm jednokomórkowy z jedną lub kilkoma wiciami. [przypis edytorski]

Wreszcie wrócili. Przewodniczący ogłosił werdykt sędziów przysięgłych. Na pytanie pierwsze, czy Michał Rozbań winien jest zbrodni morderstwa, dokonanej na osobie śp. Wierockiego — odpowiedziano sześcioma głosami: tak, sześcioma: nie. Na pytanie drugie w kierunku zabójstwa odpowiedziano dziewięcioma głosami: tak, trzema: nie.

Po krótkiej naradzie z sędziami prezydent trybunału wydał wyrok następujący:

— Sąd okręgowy karny w L. po werdykcie sędziów przysięgłych orzeka, że Michał Rozbań winien jest zbrodni zabójstwa, dokonanej na osobie śp. Wierockiego dnia dwunastego października bieżącego roku, i skazuje go za to na dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Po sali rozpraw powiało uczucie ulgi. Ktoś zaklaskał. Prezes sądu zmarszczył się, ogarniając surowym spojrzeniem publiczność. obrońca nie zgłosił sprzeciwu. Rozbań przyjął wyrok z pochyloną nisko głową. Gdy odprowadzany do więzienia mijał ławę świadków, zatrzymał się przed Materną i ruchem nagłym, nieoczekiwanym, pochylił się ku jego ręce. Tamten wyszarpnął mu ją zażenowany i rzekł na pożegnanie:

— Bądź zdrow, Rozbań! A pamiętaj, popraw się, gdy wejdiesz znów pomiędzy ludzi!

Więzień podniósł nań spojrzenie mętne od łez.

— Na pamięć matki mojej — odpowiedział mocno — przyrzekam to panu. Kanalia będę ostatnią, jeżeli tego nie dotrzymam. Niech mnie cholera weźmie, gdy będzie inaczej.

I rozplakał się jak dziecko.

Gdy Materna wychodził z gmachu sądowego, zauważył, że ludzie spoglądają nań z szawkunkiem i z uprzedzającą grzecznością robią mu miejsce. Przeszedł, nie podnosząc oczu, pod pręgierzem spojrzeń...

Wtem wyszedł z tłumu jakiś mężczyzna i zastąpił mu drogę. Materna spojrział i poznał Góranowskiego. Stał przed nim z odkrytą głową i mówił głosem do głębi wzruszonym:

— Dzielnym z pana człowiekiem. Przepraszam pana w imieniu własnym i w jej imieniu za wszystko, co go od nas spotkało. Czy może nam pan przebaczyć?

Materna milcząco podał mu rękę...

Tego dnia wieczorem ujrzawszy się w lustrze, ze zdumieniem stwierdził, że osiwił zupełnie.

## Kochanka Szamoty

(KARTKI ZE ZNALEZIONEGO PAMIĘTNIKA)

*Y zbudował Pan Bóg z żebra, które wyjął z Adama, białogłową, y przywiódł ją do Adama. Y rzekł Adam: To teraz kość kości moich y ciało z ciała mego: tą będę zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest. Przetóż opuści człowiek oycę swego i matkę, a przyłączy się do żony swej, y będą dwoje w jednym ciele...*

Z Księgi Rodzaju, Roz. 2. w. 23–24

Od sześciu dni chodzę pijany szczęściem i nie śmiem w nie uwierzyć. Od sześciu dni wstąpiłem w nowy okres życia, odcinający się od tego, co poprzedziło, tak silną linią, że zdaje mi się, iż przeżywam jakiś olbrzymi kataklizm.

Otrzymałem list od niej...

Od czasu jej wyjazdu za granicę przed rokiem, gdzieś w stronę nieznaną — ten pierwszy, cudowny znak od niej... Nie mogę, naprawdę nie mogę dać wiary! Omdleję ze szczęścia!

List od niej do mnie! Do mnie, nieznanego jej zupełnie, skromnego wielbiciela z dala, z którym jej nigdy przedtem nie łączyły towarzyskie stosunki, choćby przelotna znajomość! A jednak tak jest istotnie. Noszę go wciąż przy sobie, nie rozstaję się z nim na chwilę. Adres wyraźny, niepodlegający wątpliwości: Jerzy Szamota. To przecież ja. Dawałem kopertę do odczytania kilku znajomym, nie dowierzając własnym oczom; każdy patrzył na mnie nieco zdumiony, uśmiechał się i zapewniał, że adres czytelny i podaje moje nazwisko...

Więc wraca do kraju, wraca już za dni parę, a pierwszym, który ją powita na progu jej domu, będę ja — ja, który ledwo śmiałem podnieść na nią oczy, pijane uwielbieniem,

podczas przypadkowych spotkań w miejscach publicznych, w jakiejś alei parkowej, w teatrze, na koncercie...

Gdybym przynajmniej mógł się poszczycić dawniej jednym spojrzeniem, jakimś przelotnym uśmiechem jej dumnych warg — lecz nie! Zdawała się mnie zupełnie nie dostrzegać. Aż do tej chwili byłem pewny, że nic nie wie w ogóle o moim istnieniu. Chyba nie zauważyła, jak wlokłem się za nią od lat, niby cień daleki, nieśmiały? Byłem tak dyskretny, tak mało natrętny! Tęsknota moja okrążała ją przecież tak odległym, tak delikatnym promieniem. Więc chyba wyczuła mnie — wyczuła miłość moją i uwielbienie pokorne, bez granic — instynktem wrażliwej kobiety. Niewidzialne nerwy sympatii, rozpięte między nami od lat, spotężniały znac<sup>107</sup> na odległość i teraz ją niewolą w moją stronę.

O, bądź mi pozdrowiona, najpiękniejsza Ty moja! Oto dzień mi się kloni pod wieczorną godzinę w rozblaskach jasny, pogodny, i pieśń moją nucę z podniesionym czołem, w łaskę Twą bogaty — Pani moja przedziwna!...

Dzisiaj już czwartek. Pojutrze o tej samej zachodu godzinie mam ją ujrzyć. Nie wcześniej. Taka jej wyraźna wola. Biorę do ręki jej list, tę bezcenną koloru lila ćwiartkę papieru, z której ulatnia się subtelna woń heliotropu<sup>108</sup>, i odczytuję po raz nie wiem który:

„Drogi! Zajdź w sobotę, 26 koło 6 wieczorem do domu przy ul. Zielonej l. 8. Furtę od ogrodu znajdziesz otwartą. Oczekuję cię. Niech się spełni tęsknota lat wielu.

*Tvoja Jadwiga Kalergis*”

Dom przy ul. Zielonej 8! Jej willa! Willa „Pod Lipami”! Wspaniała, w stylu średnio-wiecznym pałacyk pośród pysznego parku, odcięty od ulicy gęstą drucianą siatką i lasem drzew, cel mych codziennych niemal przechadzek! Ileż to razy zakradałem się wieczorną porą w okolicę tego zacisza, z bijącym sercem wypatrując cień jej postaci na szybach okien!...

Zniecierpliwiony wyczekiwaniem upragnionej soboty, byłem tam już parę razy i próbowałem wejść; lecz zawsze zastawałem furtkę parkową zamkniętą: klamka ustępowała wprawdzie pod naciskiem ręki, lecz zamek nie odskakiwał. Widocznie dotąd nie wróciła. Należy być cierpliwym i zaczekać tych dni półtora. Jestem zdenerwowany do ostatnich granic, nie jem, nie śpię, tylko liczę godziny, minuty... Tyle ich jeszcze zostaje! Czterdzieści osiem godzin!... Jutro dzień cały spędzę na rzece pod jej parkiem; wynajmę łódkę i bez przerwy krążyć będę koło willi. W sobotę spędzę cały ranek i część popołudnia na dworcu; muszę ją powitać choćby z daleka. Że dotąd nie wróciła, wiem na pewno od sąsiadów, którzy jej od roku już nie widzieli. Zapewne odkłada przyjazd aż na 26 września, tj. na dzień naznaczonej mi wizyty. Doprawdy, boję się, czy nie przyjdę nie w porę; po takiej podróży będzie bardzo znużona...

---

W sobotę rano, tj. wczoraj, nie spotkałem jej na dworcu; tłum był ogromny i nie zdołałem jej dostrzec wśród tysiąca podróżnych. Zaczekałem do czwartej po południu na drugi pociąg z podobnym wynikiem. Czyżby nie przyjechała? A może przybyła pociągiem porannym i jest już u siebie? W każdym razie należało tam pójść i przekonać się.

Te dwie godziny, dzielące mnie od niej, stały się nieznośnym pasmem udręczeń, których końca nie mogłem się doczekać. Wstąpiwszy do kawiarni, wypilem ogromną ilość czarnej kawy, wypaliłem mnóstwo papierosów i nie mogąc usiedzieć na miejscu, wybiegłem z powrotem na ulicę. Przechodząc koło wystawy ogrodniczej, przypomniałem sobie zamówione na dzisiaj kwiaty.

— Co za roztargnienie! Byłbym zupełnie zapomniał!

Wszedłem do sklepu i odebrałem bukiet pąsowych róż i azalii. Świeżo ścięte kwiaty wychylały wonne pąki z kołnierza paproci i chwiały się lekko w podmuchach wieczornych. Na zegarach miejskich dochodziły trzy kwadranse na szóstą<sup>109</sup>.

<sup>107</sup>znać (daw., jako przysłówek) — widocznie, najwyraźniej, zapewne. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>heliotrop — roślina o intensywnie pachnących kwiatach. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>trzy kwadranse na szóstą (daw.) — trzy kwadranse po godzinie piątej; piąta czterdzieści pięć. [przypis edytorski]

Owinąłem bukiet w bibulkę i szybko odszedłem w stronę rzeki. Za parę minut byłem już po tamtej stronie mostu i nerwowym krokiem zbliżałem się do willi. Serce biło mi gwałtownie, nogi ugiwały się pode mną. Nareszcie dotarłem do furty i nacisnąłem klamkę: ustąpiła. Olśniony szczęściem, oparłem się na chwilę o siatkę parkową, nie mogąc opanować wzruszenia. Więc wróciła!

Minęło parę długich minut. Błędny wzrok mój przesuwiał się po rzędach lip, które, rozmieszczone po obu stronach chodnika, szły wyciągniętym szpalerem pod portal wchodowy<sup>110</sup>. Gdzieś z boku, spoza krzewów morwy i dereniu przeglądał szkielet jesiennej altany w oplączach wina; czerwone liście spływały po kratkach w bezładnych przeplotach ze zwiędłym już bluszczem...

Na klombach kwiaty jesieni: pierzaste astry i chryzantemy przedziwne. Na ścieżki zapuszczone trawą i zielskiem spadały cicho żółte liście kasztanów, dźdżyły smutno ceglaste liście klonów. Pod wyschlą cysterną z marmuru krwawiły georginie, mieniły się barwami tęczy duże szklane banie... Tam, w otoczu ligustru, na ławce kamiennej, przykrytej kobiercem igliwia, siedziały dwa czyż, nucąc piosenkę odlotu. W dalekiej perspektywie alej snuło się pod zorzę zachodu srebrne przedziwo pajęczyn...

Pchnąłem oburącz przymknięte tylko wierzeje wchodowe i po kręconych schodach wszedłem na pierwsze piętro. Zastanowił brak życia. Pałac wyglądał jak wymarły; nikt nie wyszedł naprzeciw, nigdzie śladu służby lub domowników. Olbrzymie roztruchany<sup>111</sup> lamp elektrycznych oświetlały jasnym, oślepiającym jasnym światłem puste sale i krużganki...

W przedpokoju, otwartym gościnnie na spotkanie, przykro uderzył widok niezajętych wieszadeł; gładkie metalowe ich galki lśniły zimnym refleksem wygładzonej miedzi. Zdjąłem palto. Przez otwarte wielkie gotyckie okno wpłynął w tej chwili dźwięk miejskich zegarów: biła szósta...

Zapukałem do drzwi pokoju naprzeciw. Z wnętrza nie odpowiedziano. Ogarnęło mnie zakłopotanie. Co robić? Wejść bez pozwolenia? Może śpi, znużona podróżą?

Wtem drzwi otworzyły się i w progu ukazała się ona. Spod królewskiego diademu jej włosów barwy kasztanu patrzyły na mnie oczy głębokie, dumne i słodkie zarazem. Klasyczną głowę, godną dłuta Polikleta<sup>112</sup>, zdobił naczólek wysadzany szmaragdami. Miękkie śnieżnobiały peplos<sup>113</sup> otulał jej postać pełną i dojrzałą, spływając w harmonijnych falach do stóp w antycznych ciżmach<sup>114</sup>. *Juno stolata*<sup>115</sup>!

Pochyliłem czoło przed jej majestatem. A ona, cofnąwszy się w głąb, przepuściła mnie gestem ręki do wnętrza komnaty. Była to wspaniała, z wyrafinowaną stylizacją *à l'antique*<sup>116</sup> urządzona sypialnia.

Milcząc, usiadła w głębokiej niszy na łożu rzeźbionym w *giallo antico*<sup>117</sup>.

Ukląknę na kobiercu u jej nóg i położyłem głowę na jej kolanach. Objęła ją ruchem ciepłym, macierzyńskim i zanurzywszy mi palce we włosy, zaczęła przegarniać je pieszczotliwie. Patrzyliśmy sobie w oczy bez przerwy, nie mogąc nasycić się wzajemnym widokiem. Milczeliśmy. Dotąd nie padło między nami ani jedno słowo. Jak gdybyśmy się bali nieopatrznym dźwiękiem spłoszyć anioła czaru, co spętał i związał nam dusze...

Wtem pochylili się nade mną i pocałowała w usta. Krew uderzyła mi do głowy tysiącem młotów, świat zakotłował pijanym wirem — straciłem panowanie nad sobą. Porwałem ją gwałtownie na ręce i nie czując oporu, rzuciłem w łóżko w miłosnym zapamiętaniu. Ruchem szybkim, nieuchwytnym odpięła z ramienia bursztynową fibulę<sup>118</sup>, odsłaniając

<sup>110</sup>wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>roztruchan — wielki, ozdobny kielich, puchar. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>Poliklet (V w. p.n.e.) — rzeźbiarz grecki okresu klasycznego, twórca kanonu proporcji ciała ludzkiego. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>peplos — staroż. grecki strój kobiecy bez rękawów, wykonany z jednego prostokątnego kawałka tkaniny spiętego na ramionach. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>ciżmy — tu: sandały ze skóry. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>Juno stolata (łac.) — Junona w stoli (tradycyjnej szacie kobiet rzymskich, spinanej na ramionach, przewiązywanej pod biustem, obficie fałdowanej). Junona to rzymska bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona Jowisza, władcy bogów. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>à l'antique (fr.) — w stylu antycznym. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>giallo antico (wł.) — żółty marmur numidyjski, ceniony przez elity starożytnego Rzymu, sprowadzany z ob. Tunezji; użyty m.in. do budowy rzymskiego Panteonu. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>fibula (łac.) — przypominająca agrafkę sprzączka do spinania szat. [przypis edytorski]



przede mną bezcenną pychę swego ciała. I tak posiadłem ją w bólu i tęsknocie bez miary, w upojeniu zmysłów i zachwycie serca, w szale duszy i we krwi pożarze...

Mijały godziny lotem błyskawic, brzemienne szczęściem i krótkie jak jego przebłycki — pełniły się chwile ściśle, niczym wiatry stepu, drogocenne chwile, niczym rzadkie perły. Znużeni rozkoszą, zapadaliśmy w jakieś sny cudowne, niby rajske gaje, baśnie czarodziejskie — by cucić się z nich do jeszcze piękniejszej, urodniejszej jawy...

Gdy koło szóstej nad ranem otworzyłem wreszcie ociężałe powieki i spojrzałem wkoło siebie przytomnie, Jadwigi już przy mnie nie było.

Ubrałem się szybko i przeczekawszy na próżno całą godzinę, powróciłem do siebie. Czuję zawrót w głowie, żar w żyłach. Muszę mieć gorączkę, bo wargi mam spękane i dziwną gorycz w ustach. Idąc, potykam się o sprzęty i zataczam jak nieprzytomny. Widzę świat jak przez mgłę — rozkoszny woal upojenia...

---

Nazajutrz po powrocie z redakcji znalazłem na biurku list od Jadwigi, w którym nazywała mi najbliższą schadzke u siebie za tydzień, tj. znów w sobotę wieczorem. Termin wydał mi się za daleki: wybrałem się do willi „Pod Lipami” już we wtorek po południu. Lecz furtka była zamknięta. Rozgniewany, obszedłem pałacyk parę razy w nadziei, że może zobaczę ją gdzieś w parku na jednej z alej. Lecz ścieżki były puste — tylko wiatr jesienny podrywał garście zwiędłych liści i pędził bezlitośnie w długich, smutnych szeregach. Chociaż ściemniło się już zupełnie, w oknach nie ujrzałem światła — dom głuchy był i ślepy, jakby w nim nikt nie mieszkał. Widocznie spędzała wieczory w jednym z pokoi wychodzących na północ, tj. od strony najmniej dostępnej dla oka przechodniów. Zniechęcony odszedłem...

Ponawiane przez dni następne próby wydały ten sam wynik. Musiałem z rezygnacją poddać się jej życzeniu i poczekać do soboty. Dziwiło mnie tylko niezmiernie, że przez cały tydzień ani razu nie spotkałem jej gdzieś w mieście, w teatrze lub tramwaju. Znać dawny tryb jej życia uległ zasadniczej zmianie. Jadwiga Kalergis, niegdyś przedmiot codziennego podziwu wielkomięjskich dandysów<sup>119</sup> i donjuanów<sup>120</sup>, królowa balów, koncertów i towarzyskich rozrywek, żyła teraz jak mniszka.

W gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony i dumny. Nie posiadam próżnej ambicji tych, którzy lubią drażnić drugich widokiem własnego szczęścia; nie pragnę pysznić się nią przed ludźmi. Przeciwnie — ta tajemniczość, ta ukradkowość naszego stosunku ma urok niewysłowiony. *Odi profanum vulgus*<sup>121</sup>...

---

Nareszcie nadszedł dzień upragniony. Przez cały ranek chodziłem jak błędny. Koledzy z redakcji śmiali się ze mnie, utrzymując, że na pewno jestem zakochany.

— Istny wariat z tego Szamoty — wyraził się półgłosem referent teatralny — od jakiegoś czasu sfiksował do reszty. Gadać z nim nie można.

— Podwika<sup>122</sup>! *Cherchez la femme!*<sup>123</sup> — objaśniał stary jak świat reporter. — Nic innego. Jak Boga mego kocham.

Punktualnie o szóstej wieczorem wszedłem przez uchylone drzwi do jej sypialni. Jadwigi jeszcze nie było. Na stole stojącym w wspaniałym serwis dymila filiżanka czekolady, obok na talerzu piętrzyła się piramida z ciastek, iskrzył się zielony likier.

Usiadłem twarzą do sąsiedniego pokoju i sięgnąłem po cygaro z chryzolitowego<sup>124</sup> pudełka. Wtem wzrok mój padł na ćwiartkę papieru między trzonami *trabuco*<sup>125</sup>. Poznałem jej pismo; było przeznaczone dla mnie.

---

<sup>119</sup>dandys — mężczyzna z przesadą dbający o strój i przestrzeganie form towarzyskich. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>donjuan — dziś. popr.: donżuan, uwodziciel. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*Odi profanum vulgus...* (łac.) — Nienawidzę nieoświeconego tłumu; fraza z początku pieśni III, 1 Horacego: *Odi profanum vulgus et arceo*: nienawidzę nieokrzesanego tłumu i trzymam się od niego z daleka. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>podwika (starop.) — kobieta. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*cherchez la femme* (fr.) — szukajcie kobiety (wyrażenie oznaczające, że ukrytą przyczyną sprawy zazwyczaj jest kobieta). [przypis edytorski]

<sup>124</sup>chryzolit (z gr.: złoty kamień) — oliwkowozielony lub żółtozielony minerał; ceniony jako kamień szlachetny w jubilerstwie. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>trabuco — gatunek mocnych hiszpańskich cygar. [przypis edytorski]

„Drogi! Wybacz opóźnienie. Wrócę z miasta za pół godziny. Do miłego widzenia!”

Ucałowałem liścik i ukrywszy go na piersi, wychyliłem wonny odwar. Po pierwszym kieliszku likieru uczulem niby sennosc. Zapaliłem świeże cygaro, wlepiając machinalnie oczy w błyszczącą naprzeciw na ścianie grecką pawęż<sup>126</sup> z wizerunkiem Meduzy<sup>127</sup> pośrodku. Lśniący pierś tarczy miała w sobie coś dziwnie przyciągającego, przykuwała wzrok, więziła wolę.

Wkrótce cały skupiłem się w jednym świetlanym punkcie, w miotającym pioruny blasków oku węzłowej Gorgony. Nie mogłem oderwać się od hipnotyzującego środka. Powoli zapadałem w jakiś szczególny stan. Otoczenie jakby usunęło się na plan dalszy, w nieskończenie odległą perspektywę, a na jego miejsce wstąpił pyszny bogactwem barw, egzotyczny świat baśni, podzwrotnikowa fatamorgana...

Nagle uczulem na szyi parę ciepłych, miękkich ramion, a na ustach słodki przeciągły pocałunek. Otrząsnąłem się z zapamiętania i spojrzałem przytomnie. Przy mnie stała Jadwiga i uśmiechała się kusząco. Objąłem ją wpół i przycisnąłem do piersi.

— Wybacz — tłumaczyłem się — nie zauważyłem, kiedy weszłaś. Ta tarcza tak dziwnie pęta uwagę.

Odpowiedziała milczącym uśmiechem pobłażania.

Była dziś jeszcze piękniejsza. Posągowa jej uroda, ujęta w ramę greckich szat, tchnęła niepojętym czarem. Spod cudnych brwi patrzyły czarne dumne jej oczy, z tlejącym w głębi żarem pragnienia. O, co za rozkosz rozkołysać te marmurowe piersi falą namiętności, wydrążyć z chłodnego spokoju tę twarz hardej Junony!

Przechyliwszy ją sobie przez ramię, wpiłem w nią głodne spojrzenie, sycąc długą, długą chwilę spragnione oczy bezmiarem jej piękna.

— O jakżeś piękna, przyjaciółko moja, o jakżeś piękna!<sup>128</sup> Gdzie warkocze twoje, jak fiołki wonne warkocze twoje? — pytałem namiętnie, usiłując odgarnąć z jej czoła miękką, przeczyszczone białą zasłonę, okrywającą dziś szczerze jej głowę.

— Chcę je popieścić, jak za pierwszym razem — pamiętasz? Rozrzucić ambrozjskim<sup>129</sup> płaszczem na twych ramionach i całować, całować bez końca. Wszakżeś mi nie bronila pierwszego wieczora? Usunąć tę chustę.

Wstrzymała mą rękę łagodnie, lecz stanowczo. Na ustach jej wykwitł tajemniczy uśmiech i przecząco poruszyła głowę.

— Nie można dziś? Dlaczego?

Znów milczenie i ten sam wzbraniający ruch głowy.

— Dlaczego milczysz? Czy wiesz, że dotąd nie zamieniłaś ze mną ani słowa? Przemów do mnie choć słów parę! Chcę głos twój usłyszeć — musi być słodki i metaliczny jak dźwięk szlachetnego kruszcu.

Jadwiga milczała. Jakiś bezgraniczny smutek rozlał się nagle po całej jej twarzy i zmroził chwilę upojenia. Czyżby oniemiała?

Więc przestałem nalegać i w milczeniu już piłem rozkosz boskiego jej ciała. Była dziś namiętniejsza niż podczas ostatniej schadzki. Co pewien czas chwytła ją spazm lubieży<sup>130</sup>, oczy zachodziły mgłą omdlenia i bladła śmiertelnie; delikatną jedwabistą skórę przebiegały krótkie dreszcze, zęby o połysku pereł ścinały się bolesnym kurczem. Wtedy przerażony wypuszczałem ją z objęć i chciałem cucić. Lecz była to tylko chwila: paroksyzm mijał szybko i nowa fala żądy młodej, żywiołowej, nieskrępowanej niczym grążyła<sup>131</sup> nas w odmęcie szału...

<sup>126</sup>pawęż (daw.) — tarcza. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Meduza (mit. gr.) — jedna z trzech siostr Gorgon; potwór ze skrzydłami, ostrymi kłami i szponami oraz węzami zamiast włosów, którego spojrzenie obracało ludzi w kamień; na tarczy bogini Ateny znajdowała się głowa Gorgony, ofiarowana jej przez Perseusza w podziękowaniu za pomoc przy pokonaniu potwora. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>O jakżeś piękna, przyjaciółko moja, o jakżeś piękna! — *Pieśń nad pieśniami* 4, 1 (słowa Oblubienica do Oblubienicy). [przypis edytorski]

<sup>129</sup>ambrozjski — rozkoszny; przym. od rzecz. ambrozja; *ambrozja*: pokarm bogów greckich, zapewniający im nieśmiertelność i wieczną młodość. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>lubież — lubieżność. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>grążyć — pogrążyć. [przypis edytorski]

Rozstaliśmy się późno w noc, koło godziny pierwszej. Na pożegnanie przypięła mi do piersi bukietek fiołków. Podniosłem do ust jej rękę:

— Więc znowu aż za tydzień?

Skinęła w milczeniu głową.

— Niech i tak będzie. Żegnaj mi, *carissima*<sup>132</sup>!

Wyszedłem.

W przedpokoju podczas wkładania palta nagle przypomniałem sobie papierośnicę, pozostawioną na konsoli<sup>133</sup>. Nie zdejmując tedy<sup>134</sup> okrycia, wróciłem do pokoju po zapomniany przedmiot.

— Przepraszam cię — zacząłem, zwracając się w tę stronę, gdzie pozostawiłem przed chwilą Jadwigę. Lecz rozpoczęty frazes<sup>135</sup> zamarł mi na ustach. Jadwigi w sypialni już nie było. Czyżby już odeszła do przyległego pokoju? Nie słyszałem przecież odgłosu otwieranych wewnątrz drzwi...

— Hm... szczególnie — mruknąłem, chowając papierośnicę — szczególnie...

I powoli, w zamyśleniu zeszedłem po schodach na ulicę.

---

Stosunek mój z Jadwigą Kalergis trwa już od paru miesięcy, wciąż okryty zupełną tajemnicą przed światem. Nikt nie przypuszcza, że jestem kochankiem najpiękniejszej kobiety stolicy. Dotąd nikt nas nie spotkał razem w miejscu publicznym. Przypuszczam nawet, że ludzie nic nie wiedzą o jej powrocie do kraju. Takie przynajmniej odbieram wrażenie z przygodnych rozmów w kołach znajomych. Jest to trochę dziwne i wygląda tak, jakby Jadwiga wróciła ukradkiem, nie życząc sobie wcale, by o tym wiadano. Widocznie ma w tym jakiś cel ukryty, którego mi jednak nie chce wyjawić. Ja też nie nalegam i umiem zachować dyskrecję.

W ogóle kochanka moja jest kobietą dziwną i lubi otaczać się tajemniczością. Muszę się dopiero przyzwyczaić do jej kaprysów i nagać do ekscentrycznych zwyczajów; niemal co krok natrafiam w jej zachowaniu na coś niewytłumaczonego. Chociaż żyjemy z sobą prawie od pół roku, dotąd nie słyszałem jej głosu. W pierwszych tygodniach pytałem nawet dość natarczywie o powód. W odpowiedzi przychodziły nazajutrz po schadzce listy z prośbą, aby o to nie pytać, aby jej niepotrzebnie nie nękać itp. Ostatecznie dałem za wygraną i przestałem nalegać. Może uległa jakiemu wypadkowi i rzeczywiście straciła zdolność mówienia? Teraz ją to żenuje i zamiast przyznać się do kalectwa może woli pozostawić mnie w wątpliwości co do przyczyny?

Widujemy się wciąż tylko raz na tydzień, i to zawsze w sobotę — w inne dni mnie nie przyjmuje. I tu muszę nadmienić jeden charakterystyczny szczegół w związku z uwerturą<sup>136</sup> do każdej takiej wizyty.

Nie zawsze zastaję ją po wejściu do pokoju. Czasem muszę czekać przez dłuższy czas, zanim wyjdzie na powitanie. A czyni to za każdym razem tak niepostrzeżenie, tak cicho, że nigdy nie wiem, kiedy i skąd nadeszła. Zwyczajnie staje nagle poza mną i zniemacka całuje mnie w szyję. Jest to rozkoszne, słodkie — ale i straszne zarazem. Mam przy tym wrażenie, że nigdy nie jestem wtedy w stanie zupełnie normalnym. Co to takiego, nie umiem określić — może rodzaj lekkiej zadumy czy zachwycenia?

W każdym razie, ilekroć Jadwiga każe czekać na siebie dłużej, odczuwam nieprzerpniętą chęć wpatrywania się w grecką tarczę *vis-à-vis*<sup>137</sup> wejścia. Nie wiem, skąd przychodzi mi czasem myśl, że umieszczono ją tam naumyślnie, by zwracała na siebie uwagę wchodzącego i chwytala mu oczy w swe błyszczące kręgi. Kto wie, czy nie ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w który czasem popadam?...

Potem, po owej uwerturze, wszystko toczy się normalnym biegiem — jesteśmy spragnieni siebie, pieścimy się wzajemnie, płatamy nawet sobie dziecięce figle i żarty — lecz początek jest zwykle taki, jak go opisałem — trochę dziwny...

<sup>132</sup>*carissima* (wł.) — najdroższa. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*konsola* — ozdobny, wąski stolik umieszczany zwykle pod lustrem. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*frazes* (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*uwertura* — utwór orkiestrowy stanowiący wstęp do opery, oratorium lub innego dużego dzieła muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciw. [przypis edytorski]

Jeszcze jeden szczegół, z którego niezupełnie jestem zadowolony; właściwie drobnostka, a jednak niepożądana. Jadwiga lubi aż do przesady zakrywać głowę rodzajem greckiego woalu z oślepiająco białej, gęstej tkaniny. Nie cierpię tej zasłony! Gdyby przynajmniej owijała nią tylko włosy i tył głowy — lecz ona kryje nieraz poza nią swe alabastrowe czoło, chowa zazdrośnie przede mną część twarzy, zataja usta, oczy...

Gdy chcę usunąć ten mleczny kwef, widocznie gniewa się i ucieka w głąb pokoju. Co za upór! Lecz podobno piękne kobiety są jak chimery<sup>138</sup>. Trzeba je umieć uszanować. Tymczasem ja nie zawsze mogę się na to zdobyć. Zirytowany ostatnim razem tą trochę wschodnie zwyczaję przypominającą maskaradą, zatrzymałem umykającą mi silnie za ramię. Ruch mój był szorstki i niezgrabny: rozdarłem jej kosztowny, śnieżnobiały peplos, którego duży kawał pozostał mi w ręku. Schowałem go na pamiątkę i noszę ciągle przy sobie...

---

Onegdaj<sup>139</sup> w sobotę zrobiłem dziwaczne spostrzeżenie. Jak zwykle pod wieczór, wszedłszy do willi, nie zastałem jeszcze Jadwigi w pokoju. Unikając spojrzenia Meduzy na tarczy, poszedłem w kierunku niszy, oddzielonej od reszty sypialni długą białą kotarą, zwisającą do posadzki z mosiężnych wałków. Wtem spostrzegłem, że brzeg jej nosi ślady rozdarcia; mniej więcej w połowie wysokości zasłony szczyrzyła się półkolista wyrwa. Machinalnie wzięłem do ręki materię i zacząłem przesuwając ją w palcach. Miękkość i jedwabistość tkaniny nasunęły mi pewne skojarzenia. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem schowany na pamiątkę fragment peplosu. Nagle porównałem kształt jego z rysunkiem wyrwy na kotarze. Jakaś myśl dziwna przyszła mi do głowy. Wydały mi się identyczne. Przyłożyłem kawałek trzymany w ręce do rozdartego brzegu kotary. Szczególnie! Odcinek greckiej szaty wypełnił lukę jak najdokładniej! Jak gdyby to był kawałek oddarty nie z jej sukni, lecz z kotary, lub jak gdyby peplos i zasłona były jednym i tym samym...

W pół godziny potem, witając się z Jadwigą, bacznie przypatrywałem się jej sukni. Lecz ślady rozdarcia zniknęły; szata spadała ku stopom w przezręczystych fałdach, nieskażonych najlżejszą skazą.

Ona znać zauważyła, że ją obserwuję, bo uśmiechnęła się na pół figlarnie, na pół zagadkowo. Wtedy, unosząc w górę oddarty kawałek peplosu, poprowadziłem ją do niszy, by tu pokazać jej to, co zaobserwowałem. Lecz rzecz dziwna! Kotary już nie było! Śmieszna myśl nasunęła się niespodzianie:

Czyżby „pożyczyła” jej sobie do peplosu?...

Tymczasem w miejsce zasłony otwierała przed nami gościnne ramiona zaciszna wnęka z miękkim, zapraszającym łóżem w pośrodku. Spojrzałem na Jadwigę. Odpowiedziała uśmiechem czarującej zachęty...

---

Zrobiłem niedawno ciekawe „odkrycie”. Ona ma na ciele znaki przyrodzone zupełnie podobne do tych, które i ja posiadam. Znamiona nasze są właściwie całkiem identyczne. Zabawny zbieg przypadku! Tym zabawniejszy, że znaki występują nawet na tych samych miejscach. Jeden ciemnoczerwony, w kształcie winnego grona wielkości orzecha, na prawej łopatce, i drugi, w postaci tzw. „myszki”, wysoko w lewej pachwinie. Przypadkowe podobieństwo tych szczegółów fizycznych zastanawia tym bardziej, że kształty znaków nie mają wcale cech typowych i często spotykanych — przeciwnie, posiadają charakter wyjątkowy i silnie zindywidualizowany. Śmieszna historia — nieprawdaż?...

Lecz zauważyłem i coś innego jeszcze. Skóra jej, zwłaszcza na piersiach i plecach, ma zabarwienie smagławe, jakby od opalenia — zupełnie tak samo jak u mnie. Nabyłem tę właściwość naskórka wskutek wieloletnich kąpiei na słońcu. Czy i u niej należy sobie to tłumaczyć w podobny sposób, bardzo wątpię. O ile wiem, unika słońca i skwapliwie zapuszcza przed nim roletę. Ja przeciwnie, lubię je niezmiernie i u mnie w pokoju pozwalałem mu wpadać przez okno pełnymi strugami...

---

<sup>138</sup> *Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: coś o niezwyklej naturze, dziwnego, niereczywistego a. wydumanego. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *onegdaj* — dawniej, kiedyś; przedwczoraj. [przypis edytorski]

---

Dziwactwa Jadwigi stanowczo przebijają miarę. Od paru tygodni przyjmuje mnie tylko w półoświetlonym, czasami niemal mrocznym pokoju i każe mi czekać na siebie całymi godzinami. Gdy wreszcie wysunie się skądś z ciemnego kąta sypialni, jest cała spowita w te obmierzłe kwefy, że chwilami czyni wrażenie widziadła. Ubiegłego tygodnia patrzyła na mnie spoza tych obsłon jak przez wąską szparę.

Za to namiętność jej w tych czasach widocznie wzrosła. Ta kobieta szaleje! Cała zamknęła się w błędnym kole płci i tarza się w rozpasaniu, czołga w konwulsjach chuci. Są chwile, że nie mogę nadażyć jej w tym istic szatańskim rozmachu i zostaję poza nią odurzony, wyczerpany, bez tchu. Do czarta! Nie znałem jeszcze Jadwigi Kalergis!

Z drugiej strony jednak od pewnego czasu obserwuję w jej postaci jakieś oryginalne zjawisko, które w przybliżeniu określiłbym jako „nieuchwytność”. Czy to dzięki tym białym zasłonom, w które się teraz tak starannie otula, czy to wskutek skąpego oświetlenia — postać jej wymyka mi się chwilami spod kontroli wzroku. Powstają stąd niekiedy ciekawe złudzenia i optyczne niespodzianki. Czasem widzę ją podwójnie, kiedy indziej znów jakby w jakimś śmiesznym skrótce, to znów niby w dalekiej perspektywie. Zupełnie jak w „taniecu siedmiu zasłon”<sup>140</sup> lub na obrazach kubistów<sup>141</sup>. Nieraz wygląda na posąg niewyrzeźbiony do końca, w jakimś zagadkowym stadium powstawania, niby projekt na pół wykończony.

Lecz owa „nieuchwytność” przechodzi też i w sferę dotyku. Zwłaszcza o ile chodzi o górną połowę ciała. Parę już razy stwierdziłem z niemłym zdumieniem, że ramiona jej i piersi, niedawno jeszcze tak jędrne i gibkie, teraz jakby zwiotczały. Suknia pod naciskiem ręki ustępowała gdzieś w głąb i nie czulem sprężystego niegdyś oporu jej ciała.

Raz, podrażniony tym do najwyższego stopnia, nagle pod wpływem nieprzepartej chęci postanowiłem ukłuć ją. Powoli wyciągnąłem z krawatki opalową szpilkę i zanurzyłem w jej obnażoną nogę. Trysła krew i odezwał się krzyk — lecz z *mojej* piersi: w tej chwili uczulem w nodze gwałtowny ból. Jadwiga patrzyła z dziwnym uśmiechem na krew sączącą się z jej rany w dużych, rubinowych kroplach. Z ust jej nie wypłynęło ani jedno słowo skargi...

Wróciwszy tej nocy późno do siebie, musiałem zmienić bieliznę, gdyż była zbroczona krwią. Na nodze do dziś dnia jeszcze mam ślady ukłucia szpilką...

---

Nie pójdę tam więcej! Po tym, co zaszło we willi „Pod Lipami” w ostatnią sobotę sierpnia, miesiąc temu, życie straciło dla mnie swój urok. Posiwałem przez jedną noc. Znajomi nie poznają mnie na ulicy. Podobno leżałem przez tydzień bez pamięci i bredziłem w malignie<sup>142</sup>. Dziś dopiero wyszedłem po raz pierwszy z domu. Chwieję się jak starzec i wspieram na lasce. Okropny koniec!...

A oto, co przeżyłem w willi w pamiętny dzień 28 sierpnia, w rok niespełna od chwili związania fatalnego stosunku.

Tęgo wieczora spóźniłem się. Jakaś recenzja czy artykuł literacki, który należało co prędzej puścić w świat, zabrał mi dwie godziny czasu: przyszedłem dopiero o ósmej.

W sypialni było zupełnie ciemno. Potknąwszy się parę razy o meble, trochę tym zirytowany, odezwałem się głośno:

— Dobry wieczór, Jadwigo! Dlaczego nie zapaliłaś światła? W tej ciemnicy można głowę rozbić!

Nie otrzymałem odpowiedzi. Najlżejszy ruch nie zdradzał jej obecności w pokoju. Zacząłem nerwowo szukać zapalek. Widocznie mój zamiar nie podobał się jej i postanowiła mu przeszkodzić, gdyż nagle uczulem na policzku chłodne muśnięcie jakby ręki i usłyszałem cichy, ledwo dosłyszalny szept:

---

<sup>140</sup>*taniec siedmiu zasłon* — zmysłowy taniec orientalny z opery *Salome* Richarda Straussa, wykonywany przez główną bohaterkę dla króla Heroda. Salome w tańcu zrzuca z siebie kolejne spowijające ją zasłony. Jako rodzaj artystycznego striptizu ten fragment opery był przyczyną skandali i ingerencji cenzury. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*kubista* — przedstawiciel *kubizmu*, kierunku w sztukach plastycznych powstałego na pocz. XX w., charakteryzującego się sprowadzaniem przedmiotów i postaci do układów uproszczonych brył geometrycznych, próbami jednoczesnego przedstawiania przedmiotu z różnych punktów widzenia. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*maligna* — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

— Nie pal światła. Chodź do mnie, Jerzy! Jestem w niszy.

Zadrzałem, przejęty dziwnym uczuciem. Po raz pierwszy od czasu naszej znajomości posłyszałem jej głos — właściwie jej szept. Po omacku zbliżyłem się do łóżka. Szept zamarł i nie powtórzył się już więcej. Nie widziałem jej twarzy, gdyż ciemność była absolutna; biała tylko coś niewyraźnego. Zapewne była już w bieliźnie. Wyciągnąłem przed siebie rękę, chcąc ją objąć, i natrafiłem na obnażone biodra. Dreszcz przebiegł me ciało i krew zagrała gorącym warem. Po chwili piłem już słodycz jej łona. Była szalona. Zawrotna woń jej ciała odurzała zmysły, rozżarzała tęsknotę w płomień posiadania. Namiętny rytm jej boskich bioder podzegał pożar krwi i niecił szafy... Lecz nadaremnie szukałem jej ust, na próżno chciałem ją zamknąć w ramiona. Drgającymi rękoma zacząłem wodzić wokół po poduszce, ślizgać je wzdłuż jej ciała. Natrafiłem tylko na jakieś chusty, zasłony... Cała jakby zamknęła się w ognisku swej płci, usuwając przede mną wszystko inne poza nim... Wreszcie zniecierpliwilem się. Uczucie jakby obrażonej dumy, poniżonej godności ludzkiej zawrzało we mnie namiętym sprzeciwem. Zapraǳiałem ust jej koniecznie, nieodwołalnie. Dlaczego mi ich bronila? Czyż nie miałem i do nich prawa?

Nagle przyszło mi na myśl, że obok na ścianie jest kontakt elektryczny. Ukląkszy na łóżku, namacałem galkę i przekręciłem. Bluznęło światło, rozświeciło pokój. Spojrzałem i pchnięty trwogą bez granic, wyskoczyłem z łóżka...

Przede mną w zgiełku koronek i atlasów leżał rozrzucony bezwstydnie, obnażony po linię brzucha kadłub kobiecy — kadłub bez piersi, bez ramion, bez głowy...

Z okrzykiem grozy wypadłem z sypialni, skokiem szaleńca przebyłem schody i znalazłem się na ulicy. Wśród ciszy nocy pędziłem przez most...

Nad ranem znaleziono mnie gdzieś w ogrodzie na ławce bez pamięci...

---

W dwa miesiące potem, przechodząc przypadkiem koło willi „Pod Lipami”, spostrzegłem w parku krzątających się robotników. Otulano róże na zimę w słomiane chochoły. Jakiś mężczyzna wytwornie odziany nadchodził z głębi alei i coś mówił.

Tknięty nieprzemogłą chęcią, zbliżyłem się doń, uchylając kapelusza:

— Przepraszam. Czy to jest dom pani Jadwigi Kalergis?

— Niegdyś był jej własnością — brzmiała odpowiedź. — Od tygodnia rodzina objęła go w spadku.

Uczulem dziwne ściskanie w gardle.

— W spadku? — zapytałem, siłąc się na ton obojętny.

— No tak, Jadwiga Kalergis *nie żyje już od dwu lat*. Zginęła wkrótce po wyjeździe za granicę podczas jednej z wycieczek w Alpy. Pan poblądł? Co to panu?...

— Nic... ależ nic... Przepraszam pana. Dziękuję za informację.

I zataczając się na nogach, odszedłem wybrzeżem ku miastu...

## Nietykalny

(WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA A. KROŃTY)

Obraził mnie. Znieważył dotkliwie, niesłusznie, zaocznie. Dopiero wczoraj, po powrocie z paromiesięcznej podróży, dowiedziałem się o tym od osób trzecich. To przecież nędznie!

Dlaczego to uczynił? Przecież nigdy mu się w niczym nie naraziłem. Czyżby z kaprysu lub z zawiści?...

Zawiści?... Wątpię. Kazimierz Kański jest indywidualnością zbyt silną i oryginalną, by mógł mi zazdrościć. Zresztą czego właściwie? Sławy?... Jego własna, choć niepodsykana coraz to nowymi wysiłkami twórczej pracy, starczy mu na całe życie. Od paru lat, jakby znudzony poklaskiem, cofnął się w zacisze domowe i przestał entuzjasmować tłumy nieporównaną grą aktora w wielkim stylu. Mówiono — Kański wyczerpał się.

Kobieta, Ciało, Pożądanie,  
Seks, Kochanek

Krzywdza

Płytką, głupia błaga! Kański nie chciał więcej tworzyć. Kański zamknął swą wielką sztukę w sobie, bo tak mu się podobało. *Car tel est notre beau plaisir*<sup>143</sup> — panowie i panie! O tak!

Choć jeden z nas wzniosł się ponad nieukojoną żądzę wypowiedzenia się i rósł, piękniał w sobie poza widownią świata. — Choć raz piękno okazało się bezwzględnie bezinteresowne.

Bo nie wierzę w tzw. wyjałowienie, w zanik źródła natchnienia itp. płytkie, nader płytkie sposoby tłumaczenia pewnych zjawisk w życiu twórczych osobników, jak też i nigdy nie przystanę na zdanie, jakoby śmierć wyjątkowych jednostek przychodziła w porę, gdy już nic by wartościowego stworzyć więcej nie mogły. Nie godzę się na to fatalistyczne zacieśnianie bujności i przepychu życia; owszem, wierzę najgłębiej w tragiczne jego przecięcie u geniuszy w pełni ich rozkwitu, w ten kaprys wszechistnienia, co z wspaniałym lekceważeniem zatapia całe skarby uczuć, myśli i natchnień w jakąś ciemną otchłań, bo czuje swą moc i siłę, bo wie, że w każdej chwili zdoła wyłonić z siebie jeszcze cudniejszą, jeszcze kosztowniejszą perłę. O tak! Życie jest rozrzutne i bujne! Ileż świetnych pomysłów, ileż prometeicznych tragedii zstąpiło bez możliwości objawienia się wraz z twórcami swymi do grobu, ile ich legnie się i rozgrywa w duszach tych, co „tworzyć przestali lub nigdy nie tworzyli”. To nie „improduktywi”, „impotenci” etc. O, nie! To jedna z metod twórczych, jedna z nieprzelicznych kombinacji i możliwości życia. Ci ludzie tworzą przez sam fakt swego istnienia; przez to samo, że są, że istnieją, pomnażają iściznę ducha, myśli, sztuki. To wielkość milczenia — duma bezcielesnej treści.

Nie — Kański nie wyrządził mi krzywdy z zawiści. Więc — kaprys. „Mężczyzn należy traktować z pogardą — kobiety z lekceważeniem”. Być może Kański miał w sobie dużo z markiza de Priola<sup>144</sup>.

Lecz mimo uwielbienia, jakie mam do dziś dnia dla jego geniuszu, deptać się nie pozwolę. Dziś jeszcze zażądam od niego zadośćuczynienia i zemścić się.

Zobaczę, jak wyglądać będzie w tej aferze mleczny brat hrabiego des Esseintes<sup>145</sup> — tylko z bez porównania tęższą głową. Musi się to stać dzisiaj — koniecznie dzisiaj. Nie zniosę dłużej tego stanu rzeczy. Czy też przyjmie me wezwanie z równie wybornym gestem, z jakim załatwiał podobne sprawy wśród blasku kinkietów, na oczach tysięcy wpatrzonych węg widzów podczas tych paru godzin scenicznej złudy? Czy też aktor powstydzi się człowieka? Czy zachowa niepokalaną linię stylu?... Nie wiem. Dziś się dowiem. Idę go wyzwać...

---

A tam, w rogu bajecznie stylowego salonu stał w czerwonych blaskach żarówki On, cynicznie uśmiechnięty, dziwnie piękny i gibkością miedzianego ciała kuszący Mefisto<sup>146</sup>. Przegięty wstecz, przechylił głowę na ramię i śmiał się — jak już od wieków się śmieje — mądry, rozumny Szatan.

I wszystkie te rażąco blade, spalone gorączką pożądań ciała kobiet z obrazów, wszystkie te złotowłose hetery<sup>147</sup> z oczyma o ciepłym, wilgotnym połysku, wszystkie te drażniące chłodne, z wyniosłą pozą *dogarezzy*<sup>148</sup>, których tyle spoglądało z oprawy ram, zdały się instynktownie zwracać w tamtą, jedną stronę: ku Niemu.

Bo On był duszą tego miejsca, tętnicą, w której zbiegały się wszystkie arterie wnętrza...

---

<sup>143</sup>*car tel est notre beau plaisir* (fr.) — albowiem takie jest nasze upodobanie (kaprys). Zmieniona zgodnie z popularną interpretacją formuła używana przez królów Francji przy zatwierdzaniu aktów prawnych: *car tel est notre (bon) plaisir*: albowiem taka jest nasza (dobra) wola. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*markiz de Priola* — tytułowy bohater sztuki Henriego Lavedana (1859–1940) z roku 1902: wytworny bywalec salonów. Od polskiej premiery 3 marca 1903 była to jedna z popisowych ról wybitnego aktora Kazimierza Kamińskiego (1865–1928). [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*hrabia des Esseintes* — główny bohater powieści Joris-Karla Huysmansa *A rebours* (*Na wspak*, 1884): ekscentryk i esteta, wzorcowy dekadent. Powieść zyskała szerszy rozgłos, kiedy w 1895 podczas procesu przeciwko Oscarowi Wilde’owi, oskarżyciel odwołał się do niej jako przykładu literatury „sodomicznej”. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*Mefisto* a. *Mefistofeles* — imię diabła często pojawiające się w literaturze, m.in. w *Fauście* Goethego. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*hetera* (gr. *ἑταῖρα*: towarzyszyca) — kurtyzana w staroż. Grecji; heterami były niezależne społecznie, wykształcone kobiety o wysokiej kulturze. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*dogarezza*, właśc. *dogaressa* (wł.) — małżonka doży, najwyższego urzędnika Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

Z przyległego pokoju wyszedł Kazimierz Kański i z wyciągniętą dłonią postąpił ku mnie parę kroków. Lecz zachowanie się moje ostrzegło go natychmiast. I znalazł się w sytuacji. Spojrzenie moje na moment jakby ocuciło w nim pamięć dawnej postawy, którą zwykł był przyjmować względem ludzi. I raz jeszcze ostatni zablęśla mu w oku owa wspaniała ironia lekceważenia, i raz jeszcze podniosła się ręka do owego gestu, co wytworności pełen streszczał w sobie całą gamę uczuć i myśli chwili. Lecz wnet cofnął się w siebie, przypomniał sobie znać<sup>149</sup> coś ważnego i przybrał szczególny wyraz twarzy, który mnie od razu dziwnie zastanowił.

Oparłszy się ręką na postumencie boskiej Afrodyty Kallipygos<sup>150</sup>, wskazał mi uprzejmie, lubo<sup>151</sup> z odcieniem jakby roztargnienia, jeden z foteli.

Wprawdzie nie miałem zupełnie zamiaru dłużej tu zabawić i w paru słowach chciałem załatwić sprawę, przecież w ruchu tym było tyle prestidigitatorskiej<sup>152</sup> siły i wdzięku, że mimo woli uległem czarowi tego gestu i usiadłem. Uczynił to samo, niemal automatycznie, głęboko nad czymś zamyślony, jakby zapominając o mojej obecności. Dotąd nie zamieniliśmy ani słowa i żaden z nas nie spieszył się przerywać przykrego milczenia, on widać czymś innym pochłonięty, ja — rzecz dziwna — onieśmielony zmianą w wyrazie jego twarzy i obejściu. Zaręczam, że gdyby mnie był w dalszym ciągu przyjmował jednym z tych swoich zabójczo chłodnych uśmiezków, które tak umieją przyprawiać o wściekłość, natychmiast byłbym mu przeszkodził i wprost wyjawiał cel mego przybycia. Lecz to, co zastałem, było dla mnie czymś tak niespodziewanym, tak zdumiewającym, że niemal zapomniałem urazy i zacząłem doznawać gorącej chęci wykrycia przyczyny. Psycholog wziął górę nad obrażonym mężczyzną. Zresztą mógł to być jego chwilowy tylko nastrój wywołany nieznanym mi powodem. Musiał to być jednak powód ważny, jeśli zaniechał zwykłego traktowania ludzi, z którymi się poróżnił. Ów bowiem przelotny błysk dostrzeżony w jego oczach przekonał mnie, że od razu poznał, po co przyszedłem. A przecież nie wszedł czy nie chciał wejść w rolę, którą w takich razach z zasady odgrywał: nie wyszedł mi drwiąco na spotkanie. Miałżeby mnie do tego stopnia lekceważyć, że nie zadawał sobie nawet trudu poigrania ze mną? Wątpię. Wyglądał raczej na mocno roztargnionego, jakby zaprzątnięty pewną upartą myślą.

Lecz nie tylko prosta ciekawość odwróciła mą chęć zemsty na inne tory. Przyłączył się i motyw wtórny, dla mnie na razie ciemny i prawie nieuświadomiony. Ten jednak wywiązał się dobitniej dopiero później, w ciągu rozmowy.

Nie zauważywszy prawie, że przez to odsuwam cel wizyty na plan dalszy i że mogę przedstawić mu się w dziwnym świetle, przerwałem milczenie niespodziewaną uwagą:

— Panie Kański! Pan wydaje mi się zupełnie odwartościowany.

Na dźwięk mych słów nie zwrócił prawie żadnej uwagi, ciągle zapatrzony gdzieś w dal przed siebie. Dopiero po chwili z widocznym trudem usiłował je powtórzyć sobie w myśli, odtwarzając słuchowo dla dania odpowiedzi. Sens ich po rozwadze zrobił nań pewne wrażenie, bo spojrzął ze skupioną wyraźnie na mnie uwagą:

— Być może... Z wszelką pewnością — tak. Sam to odczuwam.

Mówił tym samym aksamitnym, zmatowanym głosem, który tak zachwycał kobiety. Głos ten przez dziwaczne skojarzenie nasuwa mi zawsze porównanie z miękkim, wypłowiiałym pluszem; taki cichy, jedwabisty, na starych obiciach salonu, głuszący echa plusz...

Wysłuchany w wibracje tego głosu nie rozumiałem prawie treści słów, rozkoszując się ich fizycznym urokiem.

Po daniu mi tej pierwszej odpowiedzi Kański jakby ocknął się z czegoś i zaczął mi się przypatrywać z pewnym zdumieniem. Widać było, że nie mógł w żaden sposób dociec związku między mą uwagą a celem wizyty. Ja tymczasem podtrzymałem temat:

<sup>149</sup>znać (daw., jako przysłówek) — widocznie, najwyraźniej, zapewne. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>Afrodyta Kallipygos (gr.) — Afrodyta o pięknych pośladkach, rzymska rzeźba marmurowa z I–II w., uważana za kopię wcześniejszego greckiego oryginału, przedstawiająca boginię miłości unoszącą szaty i spoglądającą przez ramię na swoje nagie pośladki. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>prestidigitator — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]



— Rzekłbym, że przerwała się nic harmonii między panem a jego otoczeniem. Ten pokój i pan, panie Kański, w tej chwili przynajmniej — to dysonans. Pan się zupełnie odstylizował!

Uśmiechnął się blade:

— A może tylko przestylizował?

— Przenigdy. To gruba pomyłka, to błąd psychologiczny: tacy ludzie jak pan nie zwykli, nie mogą przeistaczać się. Mogą tylko oszaleć lub ulec świadomemu sobie kaprysowi.

— Tak pan myśli? Czy to aksjomat? — Gdzie kryteria? Bywają wyjątkowe wypadki...

Przerwał w środku frazy z zagadkowym błyskiem w oczach. Rozmowa znać trafiła w ton, na jaki był od dawna nastrojony.

— Nie ma żadnych wypadków. Jestem prawie pewny, że dzisiejsze usposobienie — to poza; jedna postawa więcej, którą podobało się panu przyjąć wobec mnie.

Czułem, że jestem nieszczerzy, że zmianom zaszłam w Kańskim w rzeczywistości przypisuję głębsze powody i trwalszy skutek: lecz umyślnie występowałem kategorycznie, by go podrażnić i zmusić do wyznań.

— Chce pan kryteriów, dowodów? — mówiłem, patrząc mu bystro w oczy. — Owszem! A pański markiz de Priola. Czyż nie stylowy do końca?

— Tak — odpowiedział, mieniając się na twarzy. — Ale tylko do chwili, w której pada porażony atakiem. Tego, jakim był później przez resztę życia, nie wiemy — dramat o tym milczy. I przyznam się panu, musi milczeć. Prawdopodobnie markiz de Priola z tej drugiej epoki swego życia wcale nie byłby zajmujący; Lavedan<sup>153</sup> zrozumiał to doskonale i w samą porę zapuścił zasłonę.

— Wątpię bardzo.

Kański zachnął się:

— Dlaczego? Po tym nieszczęściu, po tym strasliwym ataku... — wykrztusił z wysiłkiem. Ręce mu drgały, po twarzy przebiegały nerwowe skurcze, a w oczach świtał oblęd. Mimo woli cofnąłem się. On oparł się z całej siły o brzeg gerydonu<sup>154</sup> i dyszał ciężko. W którejś chwili nerwowy napad wzmógł się; oczy wystąpiły mu z orbit i dzikie konwulsje skrzyły całą prawą stronę ciała. Wyglądał okropnie. Chciałem już biec po lekarza i wezwać pomocy, lecz na szczęście powoli uspokoił się. Otarł chusteczką pot z czoła, otworzył okno i usiadł naprzeciw, wdychając wieczorne powietrze. Przypatrywałem mu się w milczeniu. Przekonałem się naocznie, że głuche wieści o jego chorobie nie były przesadzone, owszem, raczej mówiły za mało. Ten atak, ta zmiana w obejściu się Kańskiego i coś więcej, coś niewytłumaczonego, nieodgadnionego kazało mi do reszty porzucić zamiar dochodzenia mej obrazy. Cała ta sprawa wydała mi się teraz wobec tego, co ujrzałem, wobec tego czegoś nieokreślonego, co przed zwykłym okiem nieuchwytnym całunem okrywało osobę Kańskiego, czymś tak błahym, tak nieskończenie drugorzędnym, że wprost wstydzilem się sam przed sobą. Tego człowieka zrobiło owo coś nietykającym. Lecz co? Czyżby ów atak, choroba? Nie — na pewno nie. To było coś innego, coś bardziej ważkiego. Jakaś dostojność, powaga, jakaś świętość niemal zdawała się ukrywać poza przypadkowością wymienionych przez niego ze mną słów. To coś tkwiło w nim ciągle i toczyło bój ze świętokradzkim otoczeniem. Wyczuwałem to coraz wyraźniej, gdy wpatrzony w ogród odpoczywał z bruzdą zamyślenia na czole. Był znów podobny do tego z początku rozmowy.

Zacząłem go przepraszać za mój nierozważny sprzeciw, którym przyczyniłem się do wywołania ataku. Potrząsnął głową i zapewnił mnie, że nic nie winien:

— Pan sądzi, że gdyby nie ta drobna sprzeczka między nami, byłoby to minęło? Myli się pan gruntownie. Mięsam teraz podobne napady co parę godzin. Lekarze robią mi piękne nadzieje, że przerwy między jednym a drugim z wolna się zacieśnia i zwęży do odstępu dwóch, potem jednej godziny... Potem zostanie mi tylko pół godziny, kwadrans, aż nastąpi... Pan rozumie, co to znaczy?

— To straszne — szepnąłem, opuszczając głowę.

<sup>153</sup>Lavedan, Henri (1859–1940) — francuski dramaturg, autor m.in. sztuki *Markiz de Priola* (1902). [przypis edytorski]

<sup>154</sup>gerydon (z fr.) — niewielki okrągły stolik o jednej nodze. [przypis edytorski]

— Prawda, że straszne? To, panie, oszaleć można przed czasem. Patrzeć na zegarek, ile jeszcze minut brakuje do nowej męczarni, widzieć, jak znów przekłeta wskazówka zbliża się do fatalnej godziny... Patrz pan! Kazałem wszystkie zegarki usunąć! Nie ma tu ani jednego! Wyrugowałem czas z mego domu. Lecz cóż? Środek okazał się podły<sup>155</sup>. Ja czas w sobie noszę, ja już wszystko wiem z góry na godziny, minuty... Tak, tak — bywają wypadki...

Odszedł od okna i usiadł pod kominkiem. Wieczne cienie pełzały po stropie i posadźce, podlizując mu stopy. Patrzył na nie ponuro i mówił monotonicznie przed siebie, jak w malignie<sup>156</sup>:

— Nawiedza mnie od pewnego czasu dziwna kochanka, by kość chwile strasznej mej samotności. Jest cicha i łagodna; ręce jej liliowe chłodzą mi czoło. Przychodzi wieczorami o tej porze. Twarz zasłania białą chustą. Przy pożegnaniu odwraca się ku wyjściu, zdiera z twarzy chustę i rzuca w moją stronę. Chusta rośnie, rozwija się, poszerza, oplątuje mi nogi, obala na ziemię i przykrywa mnie oślepiająco białym całunem. Zrywam się, szarpie go, drę w kawały, pruję... nadaremnie. Skądś ze stropu obsuwają się z szelestem coraz nowsze sinoblade giezła<sup>157</sup> i przytłaczają mnie ku ziemi swymi warstwami. Słyszysz pan ich łopot w tej chwili, czujesz tę woń, tę świeżą woń białego całunu? Okrutne wiejadła!...

Przystąpiłem ku niemu.

— Uspokój się pan, na miłość boską, uspokój! Powinien pan stanowczo stąd wyjechać. Tu dom nie dla pana; zbyt ponuro nastraja. Panu trzeba słońca i dużo zieleni. Wyjedź pan na południe.

Kański jakby nie słuchał. Zanurzył rękę w stosie tulipanów porozrzucanych obficie na stole. Były białe i czerwone; osobno, w subtelnie cyzelowanej wazie z Pompei<sup>158</sup> białą bujny pęk tych kwiatów wiecznej zadumy.

Chcąc odwrócić uwagę jego od rozpaczliwych myśli, pochyliłem się nad bukietem, niby podziwiając jego gustowny układ. Spostrzegłszy to, chwycił mnie za ramię i silnie odepchnął:

— To kwiaty od niej... przepraszam... ale nie wolno się panu do nich zbliżać.

Posłuszny, choć zdumiony, odsunąłem się od wazy.

Kański wciąż wodził palcami po rozsianych przed nim na stole kwiatkach i uśmiechał się bezbarwnie. Nagle wybrał dwa z nich: czerwony i biały, i zwracając całkiem już przytomne oczy na mnie, rzekł cicho:

— Miałbym do pana jedną wielką prośbę. Może wyda się ona kaprysem obląkanego lub czymś podobnym, lecz cóż to panu szkodzi?

— Proszę bardzo. Zaciekawia mnie pan. Co ja mogę zrobić dla pana?

— Drobnostka. Proszę sobie wybrać jeden z tych kwiatów.

Spojrzałem nań podejrzliwie:

— Istotnie dziwna prośba. Mam wybrać?

Na twarzy Kańskiego poprzez uśmiech przeglądało natężone oczekiwanie. Wybrałem czerwony.

Uśmiechnął się.

— Całkiem dobrze. Przeczucie pana nie zawiodło. Przecież w życiu nie zawsze wszystko dzieje się bez sensu. Więc czerwony tulipan dla pana. Mnie został biały.

Zebrał resztę czerwonych kwiatów, związał zręcznie złotą taśmą i wręczył mi jednym z tych swoich bajecznie wytwornych ruchów, które mu pozostały, zda się, jako jedyna spuścizna po przeszłości.

— Dziękuję — rzekłem, przyjmując bukiet.

Głęboko wzruszony powstałem. Kański uczynił to samo. Podszedł do mnie z jakimś niezwykle dobrym uśmiechem, jakiego dotychczas nigdy u niego nie widziałem.

— Czy mi pan wybaczy? Obraziłem go — szczerze tego żałuję — widzi pan, powódzenie tak czasem ludzi zaślepia... nie doceniłem pana, a raczej przeceniłem siebie... Był

<sup>155</sup> *podły* — tu: marny, lichy. [przypis edytorski]

<sup>156</sup> *maligna* — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *giezło* (daw.) — długa, luźna koszula lniana; także: koszula do trumny lub prześcieradło do okrywania zmarłego. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *Pompeje* — miasto rzymskie zasypane pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 r. n.e. [przypis edytorski]

pan dziś tak subtelnie wrażliwy na to, co się tu wkoło mnie dzieje — a dzieją się dziwne rzeczy!...

Błysnął dziko oczyma.

— I nie poruszyłeś pan ani słowem tej sprawy. Za to dziękuję... bardzo, bardzo dziękuję. Czy może mi pan przebaczyć?

Wyciągnął nieśmiało rękę. Chwyciłem ją mocno, serdecznie. Upadł mi w ramiona. Dumny byłem, czując go na piersiach. Wyprostował się.

— Jeszcze raz dziękuję. I jeszcze jedna, wielka prośba. Czy można?

— Wszystko.

— Prawdopodobnie, idąc za radą pańską, wyjadę stąd wkrótce. Może dziś jeszcze. Tak — dziś w nocy, stanowczo. Błagam pana, proszę zajrzeć tu, do mego mieszkania dziś koło dziewiątej. Prawdopodobnie mnie już tu pan nie zastanie... Wyjadę... Drzwi będą otwarte. Tu, na biurku zostanie list... rzeczy ważne... Być może nieprędko wrócę, a przyjaciół nie mam... Nikogo, nikogo... Zaklinam pana — zajmiesz się tą sprawą?

Patrzyłem mu bystro w oczy. Unikały mego spojrzenia, błakając się po ścianach. Wreszcie odpowiedziałem:

— Dobrze. Ręczę słowem — będę. Żegnaj mi, Kański... ja cię zawsze uwielbiałem. Żegnaj, wielki artysto!

Szybko wyszedłem. Był już wieczór. Tam w górze wspinały się wygięte łukiem linie latarni i zwierały się u szczytu. W dali szemrało miasto, dzwoniły tramwaje, dudniły dorożki. Z okien naprzeciwległego szpitala spadały w ulicę pomosty światła i wiązały wielkie, męcząco jasne sale z brukiem.

By nie oddalać się zbyt od mieszkania Kańskiego, zaszedłem do sąsiedniego ogrodu i usiadłem na ławce w pasie elektrycznego światła. Ostrożnie złożyłem przed sobą na kamiennym stole wiązkę tulipanów i zacząłem je podziwiać. Istotnie, Kański nie kupował byle jakich kwiatów. Te, które miałem przed sobą, należały do rzadkiego, pełnego rafinady gatunku: były wytworem pielęgnacji ogrodniczej o przedziwnym unerwieniu płatków: delikatne, pajęczne żyłki biegły od nasady kielicha ku obwodowi, rozgałęziając się po drodze ognistą pulsacją krwi. By je orzeźwić, podszedłem do fontanny dżdżącej cicho o parę kroków ode mnie i zwilżyłem bukiet. Sperlone kwiaty połyskiwały pod światło jak brylanty.

Tak celowo zajmowałem swą uwagę, by nie myśleć nad tym, co mnie od końca rozmowy z nim dręczyło. Lecz nie zdołałem usnąć w sobie nerwowego niepokoju. Czas dłużył mi się okropnie i nie mogąc doczekać się godziny dziewiątej, przemierzałem niespokojnymi krokami cały ogród wszerek i wzdłuż, raz po raz spoglądając na zegarek. Wreszcie wybiła.

W kilka chwil byłem z powrotem u drzwi Kańskiego. Zastałem je rzeczywiście otwarte. Z wnętrza biła oślepiająca jasność. Wszedłem do salonu. Cały skrzył się od światła żyrandoli, lamp i żarówek. Przystanąłem oślepiony, osłaniając dłonią oczy. Po chwili, oswoiwszy się z orgią blasków, podniosłem je i spojrzałem dokoła: Kańskiego tu nie było. Wzrok mój padł na list na biurku. Był zaadresowany do mnie. Pismo zachwiane:

„Drogi mój!

Wybacz raz jeszcze... i tamto, i to, co zastałeś. Wierz mi, na honor, nie z Twojej to winy. Przypadek chciał, że przyszedłeś do mnie właśnie tego dnia, w którym postanowiłem nieodwołalnie... Nie mogłem inaczej, wszak wiesz, co się już ze mną działo... — W szufladzie, na prawo, mój testament i papiery. Oddaj pod adresem na kopercie... Te kwiaty — to mój kaprys — mój ostatni kaprys... Chciałem wypróbować życie, czy pokieruje należycie Twoim wyborem... Jakoś pokierowało trafnie. Przysięgam na naszą wielką Sztukę — to nie był żaden amerykański pojed...”

Nie dokończył. Ręka znać odmówiła posłuszeństwa...

Wpadłem do sąsiedniego pokoju. Na otomanie ujrzałem go w postawie półleżącej. W ręce zwisłej bezwładnie ku posadzce trzymał rewolwer. Na skroni prawej parę kropel krwi...

Przyłożyłem mu na chwilę rękę do serca. Nie biło.

Ten piękny człowiek nie żył.

Duszno i głucho. W sąsiedniej salce zgiełk światła, rozpętanie białych, rozżarzonych blasków... Tylko tam w rogu krwawi żyrandol. Lecz szatan pod jego baldachimem już się nie śmieje. Na pochylonym nisko jego czole dwie bolesne, grube bruzdy...

## Przed drogą daleką

(URYWKI Z PAMIĘTNIKA W. LASOTY)

Maj 1905

Nastają dla mnie dni szczęśliwe, pogodne. Jakiś dobry duch zawitał w moje progi i łaska spłynęła w domowe zacisze. Południa mam teraz ciepłe, słońcem nagrzone, wieczory łagodne, kojące. Praca dnia przynosi mi plon hojny; czuję szacunek ludzi, miłość uwielbianej żony. Jestem młody, zdrow i silny. Ramiona moje prężą się męską energią czynu, mózg mój gibki i sprawny rozwiązuje łatwo stawiane sobie zadania. Krokiem elastycznym przemierzam ulice, lekki, młodzieńczo swobodny syć oko barwną zmiennością rzeczy. Piękny, ciekawy jest świat!...

Szczęśliwie rozpocząłem trzydziesty rok życia. Zapowiada się pomyślnie, wśród wróżb dobrych na przyszłość. Dochodzę do długo upragnionych spełnień, stoję w świecie stopą pewną, spokojnie spoglądam w rozwierające się przede mną dalekie perspektywy. Jestem na drodze do zakreślonych mi przez los mój i zdolności szczytów, czuję, jak wzmożona pracą lat jaźń, pojawiwszy cel sobie właściwy, zdąży ku niemu rytmem niezachwianym, zdobywczco.

Przyjaciół szanowne głowy chylą się ku mnie gestem życzliwym, zgodne w uznaniu, serdeczne uściski rąk ludzi obcych umacniają mnie w przekonaniu, że życia nie teram<sup>159</sup>, żem tu potrzebny i ważny.

Błogosławię ci, życie...

---

Zdaje się, zachodzą we mnie od niedawna, może nawet w tych ostatnich czasach, znaczne zmiany w stosunku do życia i jego przejawów. Zaczynam je pojmować bardziej po ziemsku — więc serdeczniej, goręcej. Zbliżyłem się jakoś do świata, do ludzi i słyszę teraz wyraźniej gorące ich tętno. Życie poczyna mieć dla mnie urok całkiem nowy, dotąd niespodziewany; jakby zdwoiła się dla mnie jego przedziwna uroda.

I szczególnie! Właśnie jego zmysłowość i żywiołowa jurność hipnotyzują mnie teraz nieprzeparcie. Czyżby odwet za bardziej duchowy tryb lat poprzednich?...

Staję się z dniem każdym zapamiętałym wielbicielem kształtów i form, żywiołowej bujności życiowych procesów, cielesnej strony rozwoju. Ja, niegdyś zwolennik eterycznych abstrakcji, twórca fikcji rozwiewnych za najlżejszym tchnieniem, dziś kocham się w plastyce, w *concretum*, nurzam z rozkoszą chorobliwą nawet w małościach dnia. Jest w tym utajony jakiś, głęboki jak morze liryzm, rzewne ukochanie czegoś, co miłe i wrogie zarazem, czarowne i groźne, poważne i naiwne czasem jak dziecko. Jestem dziś dziwnie wyrozumiały i miękki. Patrzę, uśmiecham się pobłażliwie, jak starzec na swawolące wnućzę, i nagle ni stąd, ni zowąd łzę czuję w oku...

---

Zima r. 1905

Ogarnia mnie coraz przemożniej jakaś niepojęta żądza zabaw, nienasycone pragnienie rozrywek. Chwili nie mogę usiedzieć spokojnie w domu. Zarzuciłem wszystkie niemal swe prace i bawię się, szaleję.

Wciągnąłem w ten dziki wir i Martę. Zrazu opierała się łagodnie, lecz z czasem uległa, jak w ogóle zawsze w stosunku do mnie. Chwilami mam wrażenie, że patrzy na mnie

---

<sup>159</sup>terac (daw.) — marnować, tracić. [przypis edytorski]

z wylękiem<sup>160</sup> jak na obląkańca, lecz że ciągle śmieję się z tych jej bezwiednych obaw, uspokojona pozwala się unosić rozkosznemu prądowi.

W kołach znajomych zdobyłem już podobno przydomek „pasjonowanego życiowca” i jako taki nie omieszkuje zjawiać się na każdym wieczorku, wencie<sup>161</sup>, reducie<sup>162</sup>, stawać do zawodów sportowych, zabierać głos na burzliwych zgromadzeniach. Zwróciłem nawet swym trybem życia uwagę prasy, która, o ile przedtem, gdy pracowałem istotnie twórczo i poważnie, usiłowała ignorować mnie stereotypowo „zabójczym” milczeniem, teraz ze wszech stron rzuciła się na mnie zajadle jak na apokaliptyczną bestię. Sypią się pod moim adresem morały o marnowaniu talentu, o warcholstwie życiowym, o manii orgiastycznej itp. Nie zważam na nic i od rana do późnej nocy, a czasem do drugiego rana, szumię jak młokos po linii skrajnej zewnętrżności.

I w życiu erotycznym przekraczam teraz coraz wyraźniej dawniejszą miarę. Co gorsza, czuję, że jestem wprost anormalny. Sądzę, że po części przyczynia się do tego nerwowego sposobu życia, jaki teraz prowadzę. Obudzają się we mnie jakieś pierwotne instynkta i chorobliwa pobudliwość zmysłów.

Żal mi tylko Marty. Wprawdzie jej podatny jak wosk charakter przystosował się niebawem, i to nie bez uczucia wzajemnej rozkoszy, do zmienionych warunków, lecz mimo wszystko ona mi teraz nie wystarcza. Dla mnie jest to chwilami okropne, lecz nie mogę się opanować. Pijany jestem. Na szczęście ona o niczym nie wie; nawet nie przeczuwa. Nie przeniosłaby<sup>163</sup> tego. Owszem, jest teraz dla mnie podwójnie dobra i wyrozumiała. A jednak... a jednak nie czuję się szczęśliwy.

Właściwie nie brak mi niczego, a przecież... jakoś mi dziwnie. Miewam chwile bezdennych prostracji<sup>164</sup> duchowych lub też niepokojów, tak dusznych, że zrywam się w nocy i cichaczem wypadłszy z domu, topię ciemny strach w lubieżnych rozrywkach. Coś mnie dusi, dławi. Czasami boję się własnego cienia i nie śmiem pozostać sam przez parę minut.

Muszę być ustawicznie wśród ludzi, widzieć ludzkie twarze, słyszeć ludzki głos, czuć obecność istot żyjących. Zresztą czuję się coraz częściej okropnie samotny, beznadziejnie izolowany. Niejednokrotnie w czasie najhuczniejszej zabawy, gdy twarz Marty, zaróżowiona od wzruszenia, tchnie tym niewysłowionym blaskiem, który w niej zawsze tak podziwiam, nagle ci piękni, wyfraczeni mężczyźni, wytwornie, do omdlenia czarujące kobiety — wszystko to odsuwa mi się gdzieś w głąb, w daleką, bez kresów perspektywę i zostaję sam wśród jasnej, nużącej zgiefklem światel sali, sam, absolutnie sam...

Samotnik

## Luty 1906

Oni wszyscy pozostają w nieświadomym porozumieniu co do mojej osoby. Wytworzyła się niemal *entente cordiale*<sup>165</sup> co do postawy, jaką należy przybrać wobec mnie.

Stało się to nie wiadomo jak, ukradkiem prawie, ale niewątpliwie. Oni sami nie zdają sobie z tego sprawy, co właściwie zaszło, i gdybym ich o to zagadnął, z pewnością każdy odpowiedzialby zdumieniem. A przecież zachowują się teraz względem mnie całkiem inaczej niż przedtem. To nie przywidzenie — stanowczo nie! Coś w tym jest. Nie chodzi tu o lekceważenie lub pogardę. Przeciwnie. Ludzie są dla mnie uprzejmi jak dawniej, nawet powiedziałbym czolobitni, lecz... i tu widzę tajemniczą a zgodną u wszystkich zmianę — szacunek ich dla mnie nabral cech jakby pewnej bojaźni, jakby żywiołowej trwogi. Lecz nie jest to bojaźń czci, ale coś całkiem innego...

Co właściwie w tym tkwi, odgadnąć nie umiem.

Mam tylko wrażenia i odczucia. Ludzie zachowują się wobec mnie z trwożną rezerwą. Gdy staram się zbliżyć, instynktownie uchylają się, lubo<sup>166</sup> wśród oznak szacunku. Wiem z całą pewnością, że źródłem tego nie jest poczucie niższości, chęć ukorzenia się — nie,

Obcy

<sup>160</sup>z wylękiem — dziś raczej: z lękiem a. z zaleknieniem. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>wenta (daw.) — kiermasz, z którego dochody przeznaczone są na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>reduta (daw.) — bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>przenieść coś (daw.) — znieść, wytrzymać coś. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>prostracja — skrajne wyczerpanie psychiczne. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>entente cordiale (fr., r.ż.) — serdeczne porozumienie. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

wszystko, tylko nie to. Oni raczej traktują mnie jako coś heterogenicznego<sup>167</sup>, niewspółmiernego z nimi, przed czym zdrowy instynkt ostrzega i każe się mieć na baczności. Czasami muszę się uważać wśród nich za ciało obce.

Sytuacja moja jest tym nieznośniejsza, że właśnie teraz najbardziej potrzebuję towarzystwa ludzkiego. Tymczasem gdziekolwiek się pojawię, od razu staję się im ciężarem. Maskują się naturalnie, pokrywając przykre uczucie, jakie wszędzie wywołuję, grymasem grzeczności, lecz ja to dobrze widzę i odczuwam i nie dam się zmylić. Najwidoczniej krępuje ich moja obecność...

Tym to dziwniejsze, że miewam zwykle szalony humor i staram się ubawić ich wszelkimi sposobami. I chwilami udaje mi się wybornie; zapominają jakby o czymś i serdeczna ochota ciepłym nurtem przepływa im po duszy. Lecz wystarczy jakiś drobny szczegół, jakieś słówko poważniejsze, rzucone w przelocie, a wszystko wraca do dawnego stanu i znów robi się wkoło mnie przerażająca pustka...

---

20 lutego 1906 r.

Zachodzą mi drogę jacyś ludzie nieznanymi i przemawiają słowami zagadek... Pojawiają się znaki, skinienia dziwne i odegrawszy przede mną ciemne swe role, zapadają gdzieś w dal. Przytrafiają się zdarzenia szczególne, zajścia dwuznaczne i przewinawszy się przed mym wylękłym okiem, rozplywają w przestrzeni...

Coś się wkoło mnie dzieje! Na coś się w pobliżu zanosi...

---

Przed paru dniami byłem z żoną na maskaradzie. Marta w swym przebraniu cygańskim budziła powszechne zajęcie. Tłumy masek krążyły koło niej bez przerwy. Bawiłem się jak nigdy. Miałem strój rybacki z przewieszonym przez ramię zielonym niewodem<sup>168</sup>. Bezpieczny pod maską, pewny swego *incognito*, drwiłem niemiłosiernie, wywołując na sali wybuchy śmiechu. Nikt nie domyślał się, że złośliwie baraszkujący, pełen szalonej werwy rybitwa<sup>169</sup> i ciemnowłosa Cyganka — to małżeństwo.

Mimo to wśród najhuczniejszej wesołości, gdy rozbawiony tłum wyrwał nas sobie formalnie z objęć, miałem dziwne przykre spotkanie. W pewnej chwili przystąpiło do mnie jakieś wysokie, chude domino i półzartem rzuciło mi, przechodząc, uwagę:

— Wesoły rybaku, miotasz się jak opętaniec i wywijasz siecią tak skwapliwie, jak gdybyś chciał nas wszystkich w nią złowić. Lecz niewód twój pusty, zdobycz wymyka ci się z rąk, a śmiech, który tak chciwie zdobywasz, dźwięczy nieszczerze. Czuć cię wodą. Zbyt przesiąkniętą chłodem topieli i teraz przemocą chcesz się tu rozgrzać. Robisz wrażenie cienia, który zapragnął zostać przedmiotem.

Rzuciłem się ku impertyntowi<sup>170</sup>, aby dać mu porządną odprawę, lecz ten wmieszał się natychmiast w tłum bezpowrotnie.

Doznałem nader przykrego wrażenia. Ciemne słowa nieznanego dotknęły mnie głęboko, kojarząc się bezwiednie z nastrojem dni ostatnich. Dopiero dzielna pomoc Marty zatarła następstwa niemiłego epizodu i noc upłynęła nam już do końca pogodnie.

---

1 marca 1906

Od tygodnia mam noc w noc ciągle ten sam szary sen. Uporczywie powtarza się jakiś obraz beznadziejny suchą monotonią.

Śni się jakaś stroma, zapadła sień z jednym do połowy stłuczonym oknem na podwórze. Z sieni pnie się w górę klatka schodowa, kręta tysiącem przegubów, nużąco długa. Stoję na pierwszych stopniach i wchodzę powoli na piętra. Nogi wloką się leniwo,

---

<sup>167</sup>heterogeniczny (z gr. *heteros*: inny, *genos*: pochodzenie, ród) — tu: obcy, mający inne pochodzenie, należący do innego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>niewód — ciągniona sieć rybacka złożona z stożkowatego worka (matni) i dwóch długich skrzydeł. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>rybitwa a. rybitw (daw.) — rybak. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>impertynt — człowiek zachowujący się arogancko, obraźliwie wobec kogoś. [przypis edytorski]

drewniane, stukają ciężko po dębowych deskach, budząc głuche echa pustej przestrzeni. Stopnie są brudne, opylone grubą warstwą szarego kurzu, który pod uderzeniem obuwia wzbija się śniadą chmurą i dusi. W powietrzu czuć oschłość, język przywiera do podniebienia. A schody wiją się bez końca ku niewidomym<sup>171</sup> piętrům, ciągną się nieubłaganie wzwyż nudnym następstwem rzeczy powszednich. Gdy chcę przystanąć na chwilę i rzucam okiem poza siebie, popielate morze stopni pręży się ku mnie wężowymi skrętami<sup>172</sup>, że z trwogą odwracam się od szarej otchłani i wdzieram dalej, wyżej, wyżej, wyżej resztki sił, napinam zwiotczałe nerwy. Pot perlisty występuje mi na czoło chłodne jak żelazo, ręce drgają jak szalone, a tępy wzrok, wlepiony w opętaną drabinę, snuje się gnuśnie po pajęczych wiszarach...

Tak idę godzinami, bez przerwy, noc całą, a gdy już świt osrebrzy mą sypialnię, budzę się z potępieńczym znużeniem jak pielgrzym znużony. Szary, szary sen...

---

### 6 marca

Ciągle jeszcze dławi mnie po nocach ta sama zmora. Już drugi tydzień wędruję we śnie po plugawych schodach i połykam kurz zbutwiałych stopni. Lecz są i pewne zmiany. Sen zdaje się rozwijać nowe motywy i dążyć ku jakiemuś rozwiązaniu...

Nie jestem już sam w pyłnej klatce: mam towarzysza. Spotykam go od minionej soboty zawsze mniej więcej w środku drogi ku górze. Wygląda na stróża tego dziwnego domostwa, bo w rękę pobrzękuje pękiem starych zardzewiałych kluczy. Schodzi skądś z górnych pięter, a stąpa tak cicho, że kroków nie słychać: idzie po schodach jak cień.

Szczególny człowiek. Nigdy na mnie nie popatrzy, jakby się bał mego spojrzenia, lecz ustępuje mi trwożliwie z drogi, przesuając swą wydłużoną postać tuż przy ścianie. Usiłowałem parę razy zajrzeć mu w twarz, lecz szeroki pilśniowy kapelusz nasunięty głęboko na czoło udaremnia moje wysiłki.

Minąwszy mnie, zstępuje niżej w dół i znika nagle jak widmo, gdy ja zajadle, bez tchu wdzieram się na nową, coraz wyższą kondygnację...

---

Dopiero wczoraj dotarłem nareszcie do końca obłąkanej klatki i stanąłem na czworokątnej platformie przed jakimiś drzwiami okutymi w żelazne sztaby. Tu był kres.

Oparłem się wyczerpany o spróchniałą balustradę ostatnich schodów naprzeciw wierzei<sup>173</sup> i wlepiłem wzrok w żelazne przecznice... Gdyby tak drzwi otworzyć i zajrzeć do wnętrza?

Uderzyłem ze wszystkich sił w żelazną zaporę, lecz okrwawiłem tylko ręce, które od bólu skurczyły się nerwowo i opadły bezradne.

Niezrażony, oparłem się całym ciałem o skrzydła, usiłując wyważyć je z zawiasów, i szamotałem się z upartymi antabami<sup>174</sup> w nadziei, że uda mi się je wyrwać z nitów. Lecz wściekle spoiwa trzymały z nieubłaganą wytrwałością i nie poddawały się.

Gdy zniechęcony niemal już słaiałem się na kolanach, uczułem, jak ktoś mi wsuwa w rękę jakieś ostre, stalowe narzędzie. Chwyciłem uradowany, zrozumiawszy, że chce mi ułatwić zadanie, i wdzięczny zwróciłem się ku niespodziewanemu pomocnikowi. Lecz w tymże momencie odskoczyłem dziko w kąt między ścianą a balaskami<sup>175</sup>. Człowiekiem, który chciał mi się przysłużyć, był „stróż” spotykany po drodze na schodach. Kapelusz nie ocieniał mu teraz twarzy — cha, cha! — on jej nigdy nie mógł zakrywać, bo w miejscu twarzy czerniały tam tylko dwie puste jamy!...

---

### 10 marca

---

<sup>171</sup>niewidomy (daw.) — niewidoczny, niewidzialny. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>wężowymi skrętami (daw.) — dziś popr. forma N. lm: wężowymi skrętami. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>wierzeje — drzwi. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>antaba — tu: metalowa sztaba zamykająca bramę lub drzwi. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>balaski — pionowe słupki w balustradzie. [przypis edytorski]

Zdaje mi się — prześniłem mój sen do końca. Obraz, który ujrzałem nocy dzisiejszej, nosi na sobie wszelkie cechy epilogu. Jeżeli się sprawdzi jutro, rozumni obserwatorowie życia, którzy ze zdumieniem śledzą me wyzwanie, może wreszcie pojmą je i przestając uważać mnie za wariata, skłonią w zadumie głowy:

— Tak być musiało.

Piszę te słowa spokojnie: tak spokojnie, że chwilami sam sobie się dziwię. Wszakże to jutro!

Godziny upływają mi zwykłym trybem, wydzwaniane miarowo przez stare zegary, zajęcia dnia powtarzają się z obojętną regularnością rzeczy zwyczajnych.

Na zewnątrz nie dzieje się nic. Wszystko po dawnemu, nigdzie podejrzanego rysy, niepokojącej zmiany. Takie to jakieś dziwne, tak okropnie dziwne! Wszakże jutro!

Chociaż... może się myłę, biorąc poważnie wytwory schorzałego mózgu, może ja się myłę... Zresztą wszystko mi jedno; jestem tak apatyczny, tak poddańczo zrezygnowany...

Właściwie nie wiem, po co to piszę. Wartość tych kilku kartek zawisła od jutra; jeśli ono odpowie snowi, pamiętnik będzie stanowił ciekawy dokument...

Jestem niby spokojny, a cały drzę jak w febrze i nie mogę w skupieniu skreślić paru linii. A spieszyć się muszę bardzo, bo czasu mam dzisiaj mało i chciałbym jeszcze odwiedzić wszystkich mych przyjaciół...

Chodzi tedy o epilog dzisiejszej nocy, o zakończenie snu, który dręczy mnie od kilku tygodni. Prawdziwie stylowy finał!...

W jakiejś porze nocy ujrzałem się znów przed okutymi drzwiami. Stały nieubłagane jak ostatniego razu. Lecz po dokładniejszym zbadaniu jednego z żelaznych skrzydeł dostrzegłem w nim wycięty prostokątny otwór. Prawdopodobnie wykroilem go sam za pomocą pilnika ubiegłej nocy, chociaż nie mogłem przypomnieć sobie odnośnego obrazu we śnie. Możliwe też, że był urzeczywistnioną proleptycznie<sup>176</sup> konsekwencją widzenia z przedwczoraj.

Zajrzałem przez otwór...

Za drzwiami był pokój.

Wyglądał na pracownię zamożnego człowieka, urządzoną ze smakiem i wykwinną prostotą.

W kącie stała oszklona szafka z orzecha na książki, na środku biurko, obok mały stolik z krzesłami, obciągniętymi ciemnozieloną skórą. Na ścianach parę obrazów, których treści nie pamiętam.

Za biurkiem, w szerokim fotelu z poręczami, siedział obrócony do mnie plecami jakiś mężczyzna i coś pisał. Od czasu do czasu odkładał pióro, aby zaciągnąć się cygarem, które dymiło obok w popielnicy, po czym zabierał się gorliwie do dalszej pracy. — A była dziwna.

Nieznamy widocznie nie pisał nic ciągłego, bo co parę chwil odkładał na bok zapisywaną krótko kartkę, aby zastąpić ją drugą. Miałem wrażenie, że zajęty jest adresowaniem. Staralem się uchwycić rysy jego twarzy, lecz nie udało mi się: siedział wciąż plecami ku otworowi i nie obejrzał się ani razu.

Tymczasem obok na biurku piętrzył się coraz wyżej stos kart. Były zgięte w połowie, ze sztywnego lśniącego kartonu i każda na grzbiecie, ze strony zewnętrznej, miała świeżo napisane atramentem cztery wyrazy. Były to oczywiście adresy różnych osób.

Stąd wnosiłem, że wewnątrz kartony muszą zawierać jakąś treść drukowaną, i to jednakową dla wszystkich: może zaproszenia na jakąś rodzinną uroczystość?...

Nagle przerwał pisanie, potarł ręką czoło i jakby przypominając coś sobie, nacisnął guzik dzwonka.

Wszedł służący. Pan, nie opuszczając fotelu, wydał jakiś rozkaz poparty gestem, po czym ukrywszy twarz w dłonie, oparł się łokciami o biurko i zamyślił...

Wtem otworzyły się drzwi naprzeciw i weszło kilku ludzi z jakimś podłużnym, walcowatym pakietem; za nimi wniosło do pokoju dwóch wyrostków trzy podwójne drabiny.

Pan domu nie podniósł czoła, lecz z głową pochyloną siedział nieruchomo w poprzedniej pozycji.

<sup>176</sup>proleptycznie (z gr.) — przewidująco, uprzedzając mające nastąpić wydarzenia. [przypis edytorski]



Wtedy ludzie poczęli rozwijać swe rulony, z których obsunęły się na posadzkę szerokie, morowo lśniące płaty czarnej kitajki<sup>177</sup>. Jeden z wyrostków poprzystawiał do ścian gabinetu drabiny, po czym skinąwszy na towarzysza, wysliznął się cicho z pokoju. Pozostali podzielili się na dwie partie; jedni wstąpili na szczeble, unosząc ze sobą w górę krucze opony<sup>178</sup>, drudzy, pozostali u dołu, odmotywali zwoje, przekrawując materię nożycami, gdy w odpowiedniej długości pokryła ścianę.

Z kolei nastąpiło przybijanie kirów<sup>179</sup>. Słyszałem wyraźnie suchy stukot młotków, uderzających o mur, w uszach zgrzytał mi jęk gwoździ, które natrafiały na twardą przeszkodę...

Praca szła w szalonym tempie; po kilku chwilach zewsząd zwisały okropne makaty, przesłaniając wszystko jednolitą, połyskującą metalicznie czernią.

Skończywszy pracę, robotnicy odeszli. Nieznajomy wciąż siedział nieruchomo za biurkiem, nie podnosząc twarzy. Zdawał się nie dostrzegać zmiany, jakiej uległo otoczenie.

Wtem znów otworzyły się drzwi naprzeciw i do pokoju wniosło paru chłopaków kilkanaście wazonów z kwiatami, doniczki ze świeżymi pękami tuberoz, lewkonii, mirtów, stopy wieńców z białymi szarfami. Złożywszy je pod oknem, zniknęli z powrotem.

Po chwili u wejścia ukazał się służący i otworzył szeroko skrzydła drzwi, czyniąc gest zapraszający do wnętrza. Wtedy dopiero pan domu podniósł się na przyjęcie gości. Oparłszy się lewą ręką o brzeg stołu, drugą wyciągnął ruchem wytwornym na powitanie.

Niedługo czekał. Niebawem w drzwiach zaczerniało parę postaci męskich w stroju wieczorowym. Szybko przeszedłszy chodnik, rozestany od wejścia do biurka, ściskali w milczeniu dłoń gospodarza. Twarze poważne, surowe, skupione. Poznałem ich: byli to moi najbliżsi znajomi. Potem przyszli inni. Żaden nie był mi obcy: sami towarzysze pracy, koledzy, gdzieś tam ludzie przygodnie poznani. Poprzez zwarty tłum ubrań wieczorowych dojrzałem tu i ówdzie kilka kobiet z towarzystwa, do którego należałem.

Goście po przywitaniu się z panem domu usunęli się w głąb pokoju, zapewniając go powoli ciemnym zastępem. Nie było słyhać żadnych rozmów, żadnych szeptów: panowało głuche milczenie, nieprzerywane nawet słowami przywitania; podawano sobie tylko ręce bez słów, jakby w niemyym porozumieniu...

Nagle tłum rozsunał się wśród oznak szacunku i tworząc szpaler, przepuścił środkiem jakąś kobietę, ubraną w ciężką żałobę. Spod zapuszczonego kwefu wymykały się połyskujące ciepło na skrętach ciemnopłowe pukle włosów; smukła i gibka jak trzcina, szła krokiem pełnym utajonej dystynkcji<sup>180</sup>, której nawet ból i żałoba chwili nie zdołały zatrzeć.

Ujrawszy wchodzącą, nieznajomy mężczyzna postąpił ku niej i wyciągnął ramiona. Obsunęła się w nie bez słowa i na długą chwilę spoczęła w cichym objęciu. Po czasie on dźwignął wiotką jej kibić i oparłszy na swoim ramieniu, odsunął przed oczu jej welon... Kobieta była moja żona...

Długo, długo wpatrywał się w jej twarz, w jej prześliczne oczy i chłonał słodycz jej spojrzenia. Potem powoli, nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął wstecz ręką ku biurku i wzięwszy ze stosu leżących tam kart jedną, otworzył ją i podał Marcie do przeczytania...

Była to klepsydra pogrzebowa. Rzucała się w oczy data: 11 marca 1906, a nad nią nazwisko zmarłego: Atosal. — Dziwne nazwisko!...

Nagle przyszło mi na myśl, że należy je odczytać na wspak. Zacząłem... W miarę jak porządkowałem wstecznie litery, nieznajomy powoli obrócił się ku mnie twarzą i... wśród okrzyku grozy obudziłem się.

---

Dopisek wydawcy pamiętnika:

W. Lasota zmarł dnia 11 marca 1906 roku śmiercią nagłą, trafiony w głowę przez spadającą z rusztowania cegłę.

---

<sup>177</sup>kitajka (daw.) — tkanina jedwabna. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>kir — czarna tkanina, symbol żałoby. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>dystynkcja — tu: dystygowane zachowanie. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-niesamowita-opowiesc>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6199-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.